TYGODNIK ŁÓDZKI

HONOROWA ODZNAKA M. ŁÓDZI

Rok VI
Łódź, 28. VII. 63.
Nr 30 (282)
Cena — 1 zł.

odgłosy

„Romeo i Julia za czwartym falochronem", od lewej: Lidia Holik, Wanda Swaryczewska i Irena Malarczyk.

Fot.: L Wdowiński

WIESŁAW MACHEJKO

SPOTKANIA PO 19 LATACH

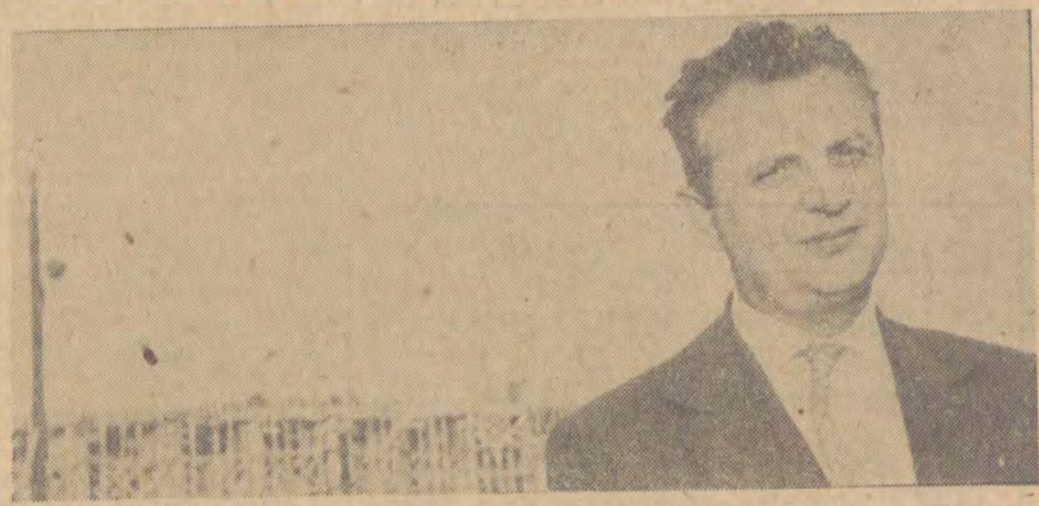

Inżynier Jan Żdebik na budowie kombinatu azotowego w Puławach.

Lipcowe najazdy dziennikarzy z całego kraju na Lubelszczyznę stały się zwyczajem. Oblicza się, że przed świętem 22 lipca około setki kolegów z prasy, radia i telewizji zjeżdża do Chełma i Lublina, by zebrać materiał do relacji. Autorom najczęściej chodzi o uchwycenie aktualnego momentu rozwoju ziemi, która w roku 1944 była Polską Lubelską, z której wyszedł Manifest Lipcowy PKWN. Dziś dziennikarze sprawdzają, jaką jest ta ziemia po latach 19, a więc po okresie czasowo równym temu, który historia wyznaczyła Polsce międzywojennej. Co zrobiono w tamtych latach, co osiągnięto dziś i dokąd zdążamy? Oto pytania, na które odpowiedź znaleźć tu nietrudno, jakkolwiek ziemia lubelska nie należy do tych okolic kraju, które rozwijają się na zasadzie specjalnych priorytetów, ze względu na przykład na wyjątkowo bogate złoża kopalin, bliskie źródła energetyczne itp. Lubelskie jest pod tym względem województwem przeciętnym i nieprzeciętnym zarazem. Jak dalece to ostatnie określenie jest słuszne przekonamy się zaraz czytając wypowiedzi kilku ludzi z tysięcy, którzy dźwigają Lubelskie z zacofania do rangi województwa o wysokim poziomie rolnictwa, przemysłu i kultury.

Ostatnio danym mi było odbyć podróż po tej okolicy razem z posłami na Sejm ziemi lubelskiej.

W centrum uwagi były zawsze sprawy rozwoju, trudności, codziennej pracy wielu komórek aparatu państwowego, mniej mówiono o osiągnięciach. Na takich „roboczych" spotkaniach nie ma na to czasu. A przecież notes pęczniał od notatek. I jeszcze jedno zdanie wstępu: powiedział ktoś, że u nas najbardziej pasjonującą lekturą jest rocznik statystyczny. Może dlatego, że słowa często zmieniały sens, liczby i ich porównania muszą być logiczne. Wybaczcie zatem, że sporo tu będzie liczb...

MÓWI I SEKRETARZ KW PZPR W LUBLINIE WŁADYSŁAW KOZDRA:

— Województwo nasze ma charakter rolniczy. Posiadamy 1.360 tys. hektarów upraw, z czego połowa to gleby pszenne, 409 tys. gospodarstw indywidualnych, 87 dobrze pracujących (dających dobre plony i dochody) PGR, 140 spółdzielni produkcyjnych. Przed wojną zbiory czterech podstawowych zbóż z 1 ha wynosiły średnio 12,5 kwintala, na czarnoziemach hrubieszowskich 13—14 kw. W roku 1961 osiągnęliśmy średnią 18,4 kw. z 1 ha. Postępuje bardzo znacznie mechanizacja rolnictwa. Kółka rolnicze zakupiły już ponad 1.400 traktorów z zespołami maszyn towarzyszących. Niestety, Lubelskie posiada najniższy w kraju wskaźnik dróg bitych na 100 km kw. — 16 km. Ruszył jednak wielki front budowy dróg w czynie społecznym. Jadąc kiedyś wieczorem spotkałem na drodze całą wieś. 400 chłopów budowało w nocy drogę!

Oczywiście rozbudowujemy i przemysł przetwórstwa rolnego. W Wartkowicach ruszy jesienią wielka cukrownia. W Zamościu pracuje nowoczesna

Dalszy ciąg na str. 5

JAN PAWEŁ GAWLIK

Teatr Smożewskiego

Teatrzykom pracującym podobnie jak kielecki Teatrzyk Dziennikarzy i Aktorów, zwany potocznie „Teatrem Smożewskiego" od nazwiska jego założyciela, reżysera, reportażysty Ryszarda Smożewskiego — nadaje się często miano placówek eksperymentalnych. Śpieszę donieść, że nazwa ta nie ma tu właściwego pokrycia poczynając już od pierwszej premiery, od „Pięciu pytań" Smożewskiego, kiedy to okazało się, że scenka tego typu jest po prostu potrzebna. Nic ze snobizmu nazbyt ekstrawaganckich „poszukiwań" czy wtórności wielu „eksperymentów". Przeciwnie — tematyka zaczerpnięta wprost z życia, pięć nierozwiązanych ludzkich spraw przedstawionych na scenie w formie krótkich obrazów (nagrodzonych potem i wystawionych przez teatr „Ateneum"). Pięć dramatycznych znaków zapytania stawianych przez reportażystę za pośrednictwem teatru, podbiło widownię swoją aktualnością, zwięzłością, napięciem dramatu. Sztuka wystawiana w objeździe dość szerokim jak na możliwości improwizowanej scenki wywoływała wszędzie dyskusje, niepokój, zaciekawienie.

Sukces był oczywisty. Był to sukces tego teatru — niby amatorskiego, a posługującego się dojrzałym zawodowym aktorem, a także — sukces jego treści wdzierającej się do świadomości widza swoją brutalną, bezwzględną aktualnością. Artystycznie jeszcze dość surowy, szczególnie w zestawieniu z warszawską realizacją Biczyckiego — program ten przyniósł kieleckiej scenie rozgłos i podnietę do następnej próby. Był to wieczór zatytułowany „Klaus, naucz się samodzielnie myśleć", złożony z pamiętników Rudolfa Hoessa i zwierzeń oraz zeznań Eichmanna. Wieczór o surowym tonie, wielkiej prostocie inscenizacji, przejmująco zwięźle pokazanym mechaniźmie ludobójstwa. Najbardziej podziwiałem w tej adaptacji jej lapidarność i zręczność dramatyczną — dystansującą sławny program warszawskiego STS o ludobójcy Rudolfie Hoessie. A także dyskrecję inscenizacji.

„Pięć pytań" i „Klaus" określały już profil kieleckiej scenki. W zakreste formy — aktor i słowo w najprostszych symbolach scenografii, na kilku metrach kwadratowych sceny, w skromnym, naprędce improwizowanym oświetleniu, wspomaganym kilkoma metrami taśmy magnetofonowej. Z elementów tych powstał też trzeci program Teatrzyku „Romeo i Julia za czwartym falochronem" złożony z listów pisanych do redakcji „Dookoła Świata" przez trawionych niepokojami serca czytelników tego popularnego magazynu. Bezbłędna dramaturgia wieczoru oparta na niezawodnym montażu i kontrastowaniu nastrojów oraz doskonałym zestawieniu groteski i liryki, mimowolnego komizmu tych zwierzeń i kryjącego się często głębiej — autentycznego dramatu, przyniosła scence Smożewskiego zasłużony sukces, a wykonawcom, aktorom Teatru im. St. Żeromskiego w Kielcach — sporo rzetelnej zabawy i satysfakcji artystycznej. Współczesność tak pewnie lansowana przez realizatorów tego teatru została wzbogacona o przejmujący obraz pomyłek i nieudolności sztuki kochania, o temat jak najbardziej aktualny a przez swoją obyczajowość i wartości poznawcze — zgoła zaskakujący. Bo komizm „Romea i Julii" był w istocie komizmem dość przypadkowym. Zderzenia i treści i słów wywołujące niezawodny humorystyczny efekt wyrażały rzeczywistość niejednokrotnie daleką od śmieszności, a obraz jaki wyłaniał się z całości bardziej skłaniał do współczucia niż śmiechu. Przypadkowa pisanina z całym urokiem prymitywu, z z całym tak sympatycznym

Dalszy ciąg na str. 7

Z cyklu: DZIECI

Fot. W KARSKI

„PIEKŁO RODZINNE" — patrz str. 2

JULIAN BRYSZ

PIEKŁO RODZINNE

„Pański syn wyjechał 31. 8. 62 r. do Wałbrzycha na ukończenie szkoły i w ślad za nim przesyłam wymeldunek.

Matka"

„Pani syn w Wałbrzychu nie przebywał i nie przebywa i nic mi o nim nie wiadomo i wypraszam sobie na przyszłość korespondencję od Pani.

Ojciec"

Rok temu wpadły mi w ręce te dwa listy, namacalne dowody „miłości" rodzicielskiej. Chłopiec wtedy właśnie rozpoczynał karierę bezdomnego dziecka. W żadnym z dwóch domów jego rodziców nie było dla niego miejsca. Wygnanym zaopiekowała się ciotka, siostra matki.

Całą tę historię opisałem w jednym z listopadowych numerów naszego tygodnika. Czytelnicy zapewne dawno już o niej zapomnieli, my sami więcej się nią nie zajmowaliśmy i ani nam było w głowie powracać do tego tematu.

Lecz oto w ostatnich dniach zjawiła się w redakcji Matka, ona sama — matka chłopca. Może miała do nas pretensję, że tak bezpardonowo opisaliśmy wówczas jej postępowanie? Nic podobnego. Przybyła tylko oświadczyć:

— Jak pan mnie tak obsmarował, to teraz kolej na moją siostrę, bo ona też wyrzuciła chłopca.

— Tak? A gdzie chłopiec przebywa w tej chwili? — zapytaliśmy.

— A bo ja wiem — rzekła matka z tupetem. — Gdzieś u obcych ludzi, na ulicy Folwarcznej, czy coś takiego.

— Jeśli wrócimy do tej sprawy, to pani się jeszcze bardziej skompromituje — czułem się w obowiązku napomknąć.

— Mnie tam nic nie obchodzi, byle ta zaraza dostała za swoje.

SPOWIEDŹ CHŁOPCA

Jako się rzekło, nie znałem dokładnie adresu, wiedziałem tylko, że chłopiec przebywa u p. X.

— To tam, za rogiem — wskazał czteroletni brzdąc i dodał z dumą: — Ten pan nam wszystkim hulajnogi pożycza.

Nie mógł oczywiście wyjaśnić, iż rzeczony p. X. jest głównym organizatorem życia społecznego swojej mikrodzielnicy, przewodniczącym komitetu blokowego i prezesem ogniska sportowego. Zaś jego żona, to jeden z najbardziej aktywnych opiekunów społecznych na Bałutach.

Przed kilku laty w tragicznych okolicznościach stracili starszego syna, ostatnio młodszy ożenił się, dom opustoszał. Chłopca przygarnęli z chęcią, gdy tylko referat opieki im zaproponował.

Przyszedł, jak stał, w garniturze i butach kupionych przez panie z opieki, sam przewodniczący Prezydium musiał akceptować ten nadzwyczajny wydatek.

Przez pierwsze dni nie chciał nic jeść. Bał się tego, że ktoś powstrzyma mu rękę, wyciągniętą po następny kawałek chleba i powie: dosyć się już najadłeś! U rodziców się tego nauczył, czegóż miał oczekiwać od obcych?

Teraz, po 2 miesiącach pobytu u państwa X, mówi: — Nigdzie nie miałem tak dobrze, tu nikomu nie przeszkadzam.

Chłopiec ma dzisiaj lat szesnaście. Od kiedy tylko zaczął coś rozumieć, wiedział, że jest niekochanym dzieckiem.

Matka rozwiodła się, gdy miał rok. Gdy miał lat osiem, przyszedł na świat konkurent — braciszek z drugiego małżeństwa. Wtedy też matka uczyniła pierwszą próbę pozbycia się chłopca. Ściągnęła do Łodzi pierwszego męża pod groźbą wniesienia do sądu sprawy o podwyższenie alimentów (płacił regularnie 500 złotych) i kazała mu zabierać dziecko.

Ponoć zbojkotowana przez sąsiadów za swoje postępowanie wkrótce przyjęła chłopca z powrotem, ale od tego czasu traktowała go ze wzrastającą nienawiścią. Gdy ojczym, po którym do dziś dnia chłopiec zachował znacznie lepsze wspomnienia, niż po matce, dawał chłopcu lanie za jakieś przewinienie, podkręcała radio i zachęcała: mocniej!

Najgorszy był ten ostatni rok pobytu „u niej" — mówi chłopiec — kiedy chodziłem do siódmej klasy. Co dzień mi powtarzała, że muszę się wynosić, bo już jestem duży i za wiele kosztuję. Kupiła mi trampki. Jak zobaczyła że gram w nich w piłkę, zrobiła mi na boisku publiczną awanturę, że na dziadów robić nie będzie. Wstyd mi było przed chłopakami. Bo do czego, proszę pana, służą trampki, przecież nie do chodzenia w niedziele do kościoła? Zegarek „Doxa", co dostałem przy pierwszej komunii zabrała mi i dała małemu, bo teraz on miał swoją komunię.

Kiedy dostałem świadectwo, przyjechał ojciec i zabrał mnie do Wałbrzycha. Ojciec był dobry, ale macocha niemiła, a jej matka jeszcze gorsza. Co dzień o szóstej rano wodą mnie polewała, żebym wstawał. Budziła mnie tak wcześnie przez złość, że sama spać nie mogła. Chodziłem do technikum górniczego, chociaż chciałem zostać elektrykiem. Myślałem sobie: byle prędzej się usamodzielnić.

Ale ojciec zachorował na cukrzycę i poszedł do szpitala. Jego kobiety kazały mi się wynosić. W Łodzi matka mnie do domu nie wpuściła. Jak zobaczyła, że wróciłem, to szybko mnie wymeldowała i posłała dokumenty do Wałbrzycha.

Poszedłem mieszkać do ciotki.

DRZWI W DRZWI

Obie siostry mieszkają w tym samym domu, na tej samej klatce schodowej, na tym samym piętrze. Okno w okno, drzwi w drzwi.

Wspomnieliśmy już, że matka chłopca wyraża się o siostrze per „zaraza". Ponadto uważa ją za „dziadówkę". Nic dziwnego, siostra przecież zarabia w żłobku tylko 750 złotych, jej mąż robotnik nie więcej niż półtora tysiąca. Zaś pani czuje się osobą niezależną, nie musi pracować, małżonek — kierowca i brygadzista dźwigu — przynosi do domu dość grosza.

Kiedyś ze swoją mizerną edukacją została nawet „panną biuralistką", sekretarką w prokuraturze, ale to bynajmniej nie był szczyt jej aspiracji życiowych. Ta córka biednej rodziny ślusarskiej dążyła wszelkimi siłami do tego, by stać się „panią domu".

— Siostra zaczęła napuszczać chłopca przeciwko mnie bo jej zabroniłam przychodzić na telewizję i korzystać z mojej pralki — powiada. Jest pewna, że to jedyna racja. Nie docierają do niej żadne argumenty, skoro nie przełożyć ich na język złotówek, mebli, czy elektroluksów, wszelkie motywy ludzkiego postępowania potrafi sobie wytłumaczyć jedynie względami materialnymi. I jeszcze dorozumiewa się, że „ta dziadówka" zazdrości jej dostatku i „pozycji".

Jeśli zastanawiałeś się kiedyś, Czytelniku, co oznacza termin: drobnomieszczaństwo w warunkach socjalizmu, masz oto absolutnie adekwatny przykład.

PORWANIE Z MILICJĄ

Pukam do sąsiednich drzwi. Siostra matki chłopca p. S. rozpoczyna — opowieść „ab ovo":

— Ona swojego pierwszego męża nienawidziła, a syna też nie mogła pokochać bo go nigdy nawet nie wykąpała, wszystko koło dziecka robiłam ja z matką. Dziadkowie bardzo kochali chłopca, więc przy nich nie odważyłaby się zrobić mu żadnej krzywdy. Ale jak nasza matka umarła, już w dwa tygodnie później wezwała męża z Wałbrzycha i kazała dziecko zabierać. Tatuś przyjechał, kupił małemu buty, a potem dał mu 10 złotych i posłał do kiosku, żeby sobie kupił czekoladę. Jak to zobaczyłam, postanowiłam chłopca wykraść. Pobiegłam naokoło, złapałam chłopca i pojechałam z nim do mojego męża na budowę. Od dawna myślałam go adoptować, teraz po rozmowie z mężem byliśmy zdecydowani.

Dalszy ciąg na str. 5

LUDZIE ZWIĄZANI Z MIASTEM

Trudno jest w nocie kronikarskiej pokwitować należycie osiągnięcia naukowe tegorocznych laureatów. Każdy z nagrodzonych ma za sobą poważny dorobek naukowy. Nazwiska i osiągnięcia laureatów są znane w Polsce i za granicą. Prof. Dylik ogłosił drukiem przeszło 80 prac naukowych, utrzymuje stałe kontakty z licznymi towarzystwami naukowymi w kraju i za granicą, od siedmiu lat jest przewodniczącym Komisji Geomorfologii Peryglacjalnej Międzynarodowej Unii Geograficznej. Prace prof. dr Zofii Jerzmanowskiej są również szeroko znane za granicą, a ostatni jej sukces naukowy (i zespołu jej współpracowników przy Katedrze Chemii Organicznej AM), uzyskanie nowego leku znieczulającego EDANU odbiło się szerokim echem w wydawnictwach krajowych i zagranicznych. Omawiając osiągnięcia prof. Jezierskiego w dziedzinie nauk technicznych i postępu technicznego trzeba by zwrócić uwagę na silne związki Katedry, którą prowadzi profesor, z przemysłem. A nazwisko prof. Hanny Małkowskiej, aktora, reżysera, działacza kulturalnego (od 1952 do 1954 rektora Państw. Wyższej Szkoły Aktorskiej im. Schillera, obecnie dziekana Wydziału Aktorskiego) jest znane nie tylko miłośnikom teatru.

Uchwała Rady Narodowej przyznająca nagrody mówi o ludziach, którzy swą pracą przysłużyli się i codziennie służą nie tylko naszemu miastu, nie tylko ludziom w tym mieście zamieszkującym, ale całemu krajowi. Ale przyszły kronikarz dostrzeże w tej uchwale i inne aspekty. Oto Łódź, nasze rodzinne miasto, które dawniej określano jako „wielką osadę fabryczną" awansowała dzisiaj, w nowych warunkach społecznych i politycznych do roli dużego ośrodka naukowego i kulturalnego. Przed wojną istniał w Łodzi tylko oddział Wolnej Wszechnicy Warszawskiej, gdy dzisiaj liczne wyższe uczelnie, teatry, opera, filharmonia, muzea sprzyjają rozwijaniu się w mieście nowego klimatu i nowego człowieka, przywiązanego silnie do miasta, do jego tradycji, do jego wyglądu i pracującego dla tego miasta.

Takimi właśnie ludźmi, związanymi najściślej z miastem, są nasi laureaci. Prof. Dylik, badacz i miłośnik ziemi łódzkiej, powiada w wywiadzie prasowym, że wszystkich wyróżnień najmilsze mu jest obecne, „bo stanowi wyraz uznania jego miasta". W wywiadzie udzielonym dla „Głosu Robotniczego" prof. Jezierski zaznacza, że chociaż w Łodzi jest dopiero od 1945 roku, jednak tworząc tu warsztat pracy „związał się z nim i z miastem na całe życie", i że z tej pracy „zrodził się łódzki patriotyzm".

A ta deklaracja, poparta konkretną pracą, mówi bardzo dużo i o człowieku i o mieście, które „pracę tego człowieka uznało".

Prof. dr Jan Dylik (Uniwersytet Łódzki) — nagroda m. Łodzi za osiągnięcia w dziedzinie nauk przyrodniczych

Prof. dr Zofia Jerzmanowska (Akademia Medyczna) — nagroda za osiągnięcia w dziedzinie nauk medycznych

Prof. mgr inż. Eugeniusz Jezierski (Politechnika Łódzka) — nagroda za osiągnięcia w dziedzinie nauk technicznych i postępu technicznego

Prof. Hanna Małkowska (Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna i Filmowa im. L. Schillera) — nagroda za osiągnięcia w dziedzinie upowszechnienia kultury

EWA SULIBORSKA

Łodzianie 1963

WANDA ROMANIAK

„Zaczęłam pracować w Centrali Międzymiastowej — mówi Wanda Romaniak, kierowniczka zmiany — w 1947 roku. Mija więc już szesnaście lat". Pani Wanda zaczynała, jak zaczynają wszystkie telefonistki od nauki zawodu. „Kiedy pierwszy raz objęłam dyżur byłam przerażona. Zapalały się światełka, dzwoniły dzwonki, a ja oszołomiona nie wiedziałam co z tym wszystkim począć... Wydawało mi się, że nigdy nie poznam aparatury, że opanowanie tych wszystkich urządzeń przerasta moje możliwości. Takie oszołomienie przeżywa każda telefonistka. Musi upłynąć trochę czasu nim opanuje „technikę", nim nauczy się rozsądnie rozkładać swoje czynności, nim obecność kilkudziesięciu pracujących jednocześnie koleżanek przestanie przeszkadzać, nim osiągnie umiejętność niesłyszenia niczego co uniemożliwia utrzymanie skupienia".

Telefonistki pracują zespołowo. Jedno zamówienie realizuje kilka osób. Oddzielne stanowiska zajmują przyjmujące zamówienia, zgłoszenia, oddzielnie te, które rozmowy zamiejscowe łączą. Przyjmująca rozmowę telefonistka wypisuje karteczkę, odpowiednio wypełnioną zabiera inna, by ją doręczyć tej, która obsługując tzw. łącza ma stały kontakt z zamawianym przez abonenta miastem. Po zrealizowaniu rozmowy karteczka z wpisaną ilością minut wędruje do rachuby. Otrzymujemy ją potem wraz z rachunkiem telefonicznym.

Karteczki telefonistki zbierają z poszczególnych stanowisk w godzinach szczytu, (rano i po godzinie siedemnastej karteczek tych jest czasem bardzo dużo) i dokonują (wszystko to musi odbywać się bardzo szybko) ich selekcji. Konieczna jest wtedy znajomość geografii. Połączenie abonent uzyskać musi drogą najkrótszą. Gdy abonent ostatecznie, doczekawszy swojej kolejki otrzymuje połączenie, telefonistka włącza aparat mierzący czas rozmowy. Po jej skończeniu aparat ten samoczynnie się wyłącza. Ale gdy np. abonent rusza widełkami aparatu po skończeniu rozmowy i odłożeniu słuchawki dostukuje mu pewną liczbę minut. W momencie prowadzenia rozmowy do obowiązków telefonistki należy sprawdzanie co pewien czas jej przebiegu. Rozmawiający słyszą wtedy: „Halo, tu Łódź... mówi się".

„Telefonistki są oczywiście kontrolowane. Nad ich pracą czuwają kontrolerki. Każda ma pod opieką 15—20 telefonistek. Za wszystkie przekroczenia i niegrzeczności, reklamacje wnoszone przez abonentów telefonistki są karane (odtrąca się im określone sumy z pensji). Kontrola ta jest bardzo ścisła i rzadko istotne przewinienia udaje się ukryć".

W tej samej, bardzo dużej sali Centrali Międzymiastowej pracują telefonistki z biura zleceń i z biura informacji.

„Biuro zleceń w naszej Centrali realizuje zamówienia właściwie jednego typu. Abonenci mogą nas prosić nakręcając numer 284-40 o obudzenie. Podają godzinę, numer telefonu. Czasem realizujemy i inne zamówienia. Np. przypominamy o terminach, o alimentach. Teraz, w czasie wakacji przypominamy o dawaniu kotom obiadu, podlewaniu kwiatów, płaceniu rachunków domowych itd. Codziennie budzimy kilkuset abonentów. Kiedyś spełnialiśmy zamówienia nie sprawdzając uprzednio numeru telefonu zamawiającego. Przy naszej pomocy robiono sobie wtedy całą masę kawałów. Budziliśmy kiedyś pewnego pana przez całą noc dzwoniąc co godzinę. Mieliśmy z tymi dowcipami wiele kłopotu i teraz ubezpieczamy się. Co robimy, gdy abonent zamawiający budzenie nie zgłasza się? Sprawdzamy, czy nie jest uszkodzony aparat, a potem przełączamy się na specjalny sygnał. Tym sygnałem aparat dzwoni aż do momentu podniesienia słuchawki. Często zdarza się tak, że abonenci bez uprzedniego zawiadomienia nas wychodzą z domu przed godziną wyznaczoną nam na budzenie. Telefon dzwoni wtedy godzinami. Czasem zdarzają się pomyłki. Pewien pan zamówił budzenie zamiast na 4, na 6 rano wymieniając nam godzinę odjazdu pociągu, a nie godzinę, o której chciał wstać. „Największe nasilenie ruchu w Centrali to godziny przedpołudniowe, gdy pracują urzędy i godziny wieczorne. Piekło w biurze zleceń rozpoczyna się około godziny 22. Abonenci nie pamiętają, że budzenie można zamówić wcześniej — nam ułatwiłoby to pracę, im oszczędziłoby zniecierpliwienia — i dzwonią nieomal wszyscy równocześnie".

„W innych miastach biuro zleceń wyposażone jest w maszyny, telefonistki z informacji w słowniki i encyklopedie. U nas powoli te placówki także zmieniają swój charakter. Będziemy wkrótce „wykonywać bardziej skomplikowane polecenia". „Czasem zdarzają się scysje. Abonenci nie szczędzą nam przykrych słów". Nie zawsze na nie zasługujemy. Każdemu z naszych interesantów wydaje się, że jest jedynym abonentem proszącym o połączenie, jedynym zamawiającym budzenie. Nie pamiętają o tym, że jednocześnie dzwoni do nas kilka osób i że zamówienia odbierać musimy kolejno.

„Od telefonistki poza czysto techniczną sprawnością wymaga się inteligencji. To praca w czasie której trzeba myśleć, działać celowo, szybko decydować.

„Nasza praca — mówi Wanda Romaniak — wymaga opanowania umiejętności skupienia uwagi wymaga też cierpliwości. Nasi abonenci mogą się denerwować my denerwować się nie możemy. Telefonistka musi być miła i grzeczna".

TELEwizja

Dlaczego?

Wasz Kowalski ogląda bohatersko program telewizyjny, a przecież i jemu, jako — bądź co bądź — człowiekowi pracy, należy się wypoczynek. Nawiasem mówiąc taki wypoczynek powinien znaleźć człowiek i przed szklanym ekranem, na wakacje przygotowała nasza TV specjalny program.

Czy Kowalski odpoczywa podczas programu? Pytanie fałszywie postawione, recenzent nie odpoczywa, recenzent się zawsze męczy, marudzi, przypina łatki, mobilizuje zasoby swojej złośliwości, czepia się jak nie powiem co psiego ogona, szuka dziury w całym. Tak też i Wasz Kowalski weszy, podejrzewa, insynuuje, próbuje dołki pod kimś kopać, ale mu to wszystko nie wychodzi. Wakacyjny program TV, jak dotąd przynajmniej, wygląda wcale przyzwoicie i recenzentowi nie tak łatwo się przyczepić.

Jest jednak tego lata coś specyficznie polskiego i na to Kowalski pragnie zwrócić Waszą uwagę. Dużo w programie teatru, za dużo nawet. U nas tak już jest, że jak się coś udaje, a przecież teatr w TV jest udany, to się to pcha ile wlezie. Zateatrzenie programu TV ma, oczywiście, swoje zalety. Ostatecznie dobra sztuka obejrzy zawsze daleko więcej widzów w telewizji niż w teatrze. Z punktu widzenia masowości kultury jest to sukces. No, ale mamy teraz lato, ciężkie dania, chociażby i najlepsze, nie smakują ludziom zarówno w restauracji, jak i w telewizji, mózg rozcieńczony słońcem, bardziej leniwy niż zwykle, z trudem odbiera treści filozoficzne, mamy więcej w tym czasie uznania dla rzeczy krótkich, mocno fabularnych, odpoczynek wiążemy raczej (ale to nie jest reguła) z dobrą rozrywką niż przymusem rozumienia gęstych intelektualnie i wymagających dużego wysiłku tekstów.

Świat nie ogłosił co prawda przerwy wakacyjnej, wydarzenia biegną wartko, w każdej sferze życia, a już napewno w polityce dzieją się rzeczy ważne. Obserwujemy ich przebieg oglądając dzienniki i specjalne audycje polityczne. I właśnie podczas takiego lata naturalnym prawem kontrastu zwracamy się równocześnie ku rozrywkowym formom TV. Wasz Kowalski uważnie śledzi rozmowy w Moskwie, czy wydarzenia na Bliskim Wschodzie, zarazem jednak pasjonuje się filmem, zwłaszcza krótkimi stosunkowo seriami, które w sumie stanowią całość, chociaż dadzą się oglądać i na wyrywki. Boże ty nasz! Ile już połknęliśmy takich serii! Przygody podwodne, Opowieści z nad brzegów rzek, Zorro, Złamana strzała, Człowiek do wynajęcia, Niezwykłe przygody inspektora Leclerca, specjalne filmy telewizyjne angielskie, amerykańskie, francuskie, enerdowskie. Tylko nie polskie.

Tego właśnie Wasz Kowalski nie może zrozumieć. Dlaczego nie ma naszego, odcinkowego filmu telewizyjnego? Powiedzcie sami — dlaczego? Koszta? Przyjrzyjcie się jakim kosztem robią odcinki inni. Inspektor Leclerc obywa się bez dekoracji, wszystko jest grane w naturalnych warunkach, prawdziwy pejzaż istnieje także i u nas, mamy domy, samochody, utalentowanych aktorów, pistolety także się znajdą, jeżeli są konieczne. Nie optuję akurat za rodzimym kryminałem telewizyjnym ,ale przecież choć Polacy naród wyjątkowo spokojny i praworządny, ma u nas Milicja Obywatelska co nieco do roboty. Można tanim kosztem sfilmować cykl najciekawszych spraw, takich z dużą społeczną otoczką, sama problematyka tzw. trudnej młodzieży, dałaby się ciekawie przedstawić. Czemuż mają na ten temat mówić w nieskończoność przed kamerą starsi panowie, a nie ulubieniec publiczności, filmowy kapitan MO?

Wilhelm Tell, jak wiadomo, nie wymagał specjalnych dekoracji, trochę muzealnych zabytków, autentyczne góry i już jest odcinkowy film, sięgający w tradycje, z których dumni są Szwajcarzy, chociaż Szwajcarom frajdę zrobili tym filmem Anglicy. Czy u nas nie ma dobrych tradycji, dających pokazać się w dobrej, przygodowej konwencji? Są z całą pewnością, z samych tylko ludowych wątków można tu przypomnieć chociażby podhalańskiego Janosika, czy świętokrzyskiego Kaka, nie brak nam także barwnych, półlegendarnych postaci historycznych jek Beniowski, albo opisywana niedawno w „Odgłosach" Joanna Zubrowa — kobieta żołnierz, markietanka, matka, specjalistka w pojedynkach na szable, dobra do bitki i wypitki, żyjąca w fascynujących czasach wojen, błędnych rachub i wielkich nadziei na odzyskanie niepodległości. Zresztą po co szukać tak daleko, kiedy można wykorzystać okupację hitlerowską. Przygody partyzanckiego oddziału, czy tylko jego wywiadowców — nie byłyby z pewnością takie trudne do sfilmowania. Lasy mamy na miejscu, pepesze, granaty, które tak nam często marnuje Film Polski, także są, podobnie mundury polskie i hitlerowskie, a doświadczeń, pasjonujących i pouczających przeżyć u nas w bród.

Czemuż więc nie próbujemy własnych filmów telewizyjnych? Tańsze są sprowadzane? Takie rozumowanie nie ma większego sensu, no, bo jeżeli nam sprzedają filmy kapitaliści, muszą na tym zarabiać. Prawda, że Wasz Kowalski mimo upałów logicznie rozumuje? My w takim razie także moglibyśmy zarabiać, jeżeli było by co sprzedać, czego bardzo życzy naszej TV, teleabonentom i telesobie

KOWALSKI

MARIA KORNATOWSKA

„ROZWÓD PO WŁOSKU"

Film „Rozwód po włosku" reżyserii Pietro Germi odbiega znacznie od konwencji tradycyjnej włoskiej komedii filmowej, reprezentowanej głównie przez Camerciniego („Piękna młynarka", „Zbrodnia"), Comenciniego („Chleb, miłość i fantazja" itd.) a nawet bardziej nowoczesnej typu Steno i Monicellego („Złodzieje i policjanci", „Zwykli, nieznani sprawcy"). W komediach tych, elementy satyry obyczajowej i społecznej osadzone były w tkance dobrodusznego paternalizmu i pozbawionej złośliwości ironii. Rzeczywistość traktowano z pogodnym przymrużeniem oka. Germi stworzył zaprzeczenie lekkiej, populistycznej komedii. Napisał kamerą zjadliwy pamflet na moralność i prawa swego narodu. Moralność podszytą fałszywą pruderią, nasyconą hipokryzją i obłudą. Moralność niezdrową, którą określają i umarniają absurdalne i sprzeczne z jakąkolwiek logiką prawa. Swoją gorzką komedią włączył się Germi w swoisty nurt rozrachunkowy włoskiego filmu, nurt rozrachunku z własnym społeczeństwem, z jego organizacją i przyrodzonymi wadami. Neorealizm pokazywał swych bohaterów jako ofiary splotu tragicznych okoliczności i sytuacji społecznej. Nurt rozrachunkowy w takich chociażby filmach jak „Długa noc 43 roku", „Salvatore Giuliano", „Wszyscy do domu" „Ciężkie życie" i in. próbuje uświadomić Włochom ich jednostkową i zbiorową odpowiedzialność za losy własne i kraju, za tę właśnie określoną sytuację społeczną. Jest to nurt jak najbardziej zaangażowany. Do jego najistotniejszych cech należy ostra i bezlitosna analiza psychologiczno-socjologiczna. Germi posunął tę ostrość aż do granic paszkwilu.

Wszystkie jego postacie są negatywne. Żadna z nich nie budzi sympatii, co było wprost nie do pomyślenia w tradycyjnej komedii... Film opowiedziany został ponadto w sposób zimny, z zachowaniem ironicznego i złośliwego dystansu wobec bohaterów i ich perypetii... Złośliwość twórców ujawnia się często w zderzeniach narracji słownej z obiektywną wymową obrazu, jak chociażby w świetnej scenie końcowej. Złośliwa ironia jest zresztą w filmie dwustopniowa. Ironia barona Cefalu w stosunku do swej familii i otoczenia i wszechogarniająca ironia reżysera. Z komedii angielskiej zaczerpnął Germi pomysł sytuacji sprowadzonej do ostatecznego absurdu, sytuacji kryminalnej typu „Jak zabić bogatego wujka" lub „Szlachectwo zobowiązuje". Sam baron Cefalu, też zresztą jakby żywcem z angielskiej komedii wyjęty, ze swoją flegmatyczną tępotą i pedantyczną premedytacją. Nie mówiąc już o tak charakterystycznych dla angielskiego humoru traktowaniu sytuacji absurdalnej jako zupełnie normalnej i nikogo nie szokującej. Ale ten schemat strukturalny wypełnił Germi bardzo narodową treścią. Bez interesowną, w gruncie rzeczy, ironię Anglików zastąpił ironią zwróconą pod bardzo określonym adresem i w bardzo określonym celu.

Zaskakujący jest też styl filmu, będący właściwie mieszaniną różnorakich stylów, mieszaniną różnorodnych elementów od groteski do pastiszu. Dziwnym paradoksem, tej gorzkiej i smutnej w gruncie rzeczy, mimo mnóstwa przekomicznych sytuacji, komedii patronuje duch starego Claira. Zwłaszcza w znakomitej, pastiszowej i gdzieś z „Miliona" poczętej sekwencji ogrodowo-lirycznej lub w utrzymanej sparodiowanej poetyce niemych filmów sekwencji zalotów Rozalii i malarza. Nie bez kozery zastosował tu Germi przekładnię czasową zresztą i „słodkie" marzenia barona otrzymały zręczną formę parodii pewnych schematów filmowych. I tu dochodzimy do wniosku o wielokierunkowości satyry Germiego, wielodenności jego filmu. I o pogłębionej analizie społecznej, jaką film jego przynosi. Analizie podstawowej sprzeczności Włoch, zwłaszcza południowych, sprzeczności między nowoczesnością cywilizacji otaczającej człowieka (magnetofon w ręku barona Cefalu!) i jego anachroniczną mentalnością, nie mówiąc już o koniecznej wprost anachroniczności prawa. Poprzez absurd wykoncypowany, obnażył Germi absurd istniejący i rzeczywisty. Obnażył i ośmieszył. I kto wie czy śmiech nie okazał się w tym wypadku bronią najskuteczniejszą. Jest to śmiech, który zmusza do zastanowienia. A w ogóle „Rozwód po włosku" to bardzo smutny film. Natomiast kreacja aktorska Marcello Mastroianniego jest istnym majstersztykiem i chyba wejdzie do historii filmu.

ZE ŚWIATA

Duże uznanie krytyki wywołał nowy film Billy Wildera „Irma la douce" czyli „Słodka Irma". W filmie spotykamy sympatyczną parę aktorów znaną nam już z innego dzieła Wildera z „Garsoniery" — Shirley Mac Laine i Jacka Lemmone. Tym razem czarnowłosa, Shirley, wciela się w postać paryskiej prostytutki o czystym sercu, słodkiej Irmy. Zakochany w niej policjant (Jack Lemmon) po wielu zabawnych i dramatycznych perypetiach poprowadzi wreszcie Irmę do ołtarza. Film Wildera zawiera sporo akcentów ostrej satyry obyczajowej i kpiny z wytartych schematów myślowych. Jest też niezwykle zabawny. Humor „Słodkiej Irmy" opiera się na sprowadzeniu wielu sytuacji do absurdu. Shirley jak zwykle niezrównana.

* * *

Betty Davis znów zagra w filmie i to rolę dwóch sióstr bliźniaczek w „Dead Ringer" reżyserii Paula Henreida. Między siostrami wybucha tragiczny konflikt na tle miłości do Karla Maldena.

Statuetki Dawida — włoskie odpowiedniki amerykańskich Oscarów przyznane zostały w tym roku Ginie Lollobrigidzie za rolę w „Cesarskiej Wenus", Silvanie Mangano za rolę w „Procesie w Weronie" i Vittorio Gassmanowi.

Najlepszym reżyserem uznany został Vittorio De Sica („Uwięzieni z Altony").

Laureatami zagranicznymi zostali D. Zanuck — producent „Najdłuższego dnia", aktorka Geraldine Page bohaterka filmu „Słodki ptak młodości" i Gregory Peck — bohater „Zabić drozda".

* * *

Laureatami tegorocznych nagród tygodnika „Cinemonde" — statuetek Nike z Samotraki zostali Annie Girardot i Jean-Paul Belmondo uznani za najlepszych aktorów francuskich; Marcello Mastroianni („Rozwód po włosku") i Sophia Loren („Nóż w ranie") jako najlepsi aktorzy zagraniczni. Najlepszym filmem francuskim uznane zostały „Niedziele w Ville D'Avray" Serge Bourguignona, a zagranicznym „West Side Story" Roberta Wise.

„Le Film Francais" — organ dystrybutorów, właścicieli i kierowników kin, przyznaje również swe coroczne nagrody, opierając się na danych statystycznych dotyczących frekwencji i opinii publiczności.

W kategorii filmów francuskich wyróżniono „Wojnę guzików" Yves Roberta (733 tysiące widzów w samym tylko Paryżu); zagranicznych — „Najdłuższy dzień". Tytuł najlepszej aktorki francuskiej otrzymała tym razem Emmanuele Riva (za rolę w „Therese Desqueyroux"), a aktora — Robert Hossein („Odpoczynek wojownika"). Natomiast za najlepszych aktorów zagranicznych uznani zostali Natalie Wood („Weste Side Story") i Anthony Perkins („Nóż w ranie").

* * *

Atrakcją festiwalu filmowego w San Sebastion był retrospektywny przegląd filmów poświęconych bykom i torreadorom. Można tam było zobaczyć co na ten temat ma do powiedzenia kinematografia od czasów starożytnych... czyli epoki braci Lumiere. Właśnie operator braci Lumiere — Promio, nakręcił w r. 1896 pierwszy film o corridzie — „Wejście torreadorów".

* * *

Gregory Peck ukończył właśnie swój nowy film „Kapitan Newman M. D." w którym gra rolę bardzo dzielnego i mądrego wojskowego lekarza.

Film reżyserował David Miller. U boku Pecka grają Angie Dickinson i Tony Curtis.

* * *

Alfred Hitchcock, wielki mistrz filmowych niesamowitości, zapytany czy jego słynne dzieło „Ptaki" pokażą się kiedyś na telewizyjnym ekranie — odpowiedział bez wahania: „Tak, oczywiście, jeśli zdziecinnieję do reszty". Na pytanie czy lubi telewizję: „Ogromnie, a zwłaszcza lubię dobre jedzenie". Potem zaś dodaje:

„W każdym razie, gdybym pracował kiedyś dla TV, metodą bezpośrednią... to byłby to chyba koniec świata... ponieważ mógłbym pokazywać okropności „na żywo", „bezpośrednio".

M. K.

mieszanka FILMOWA

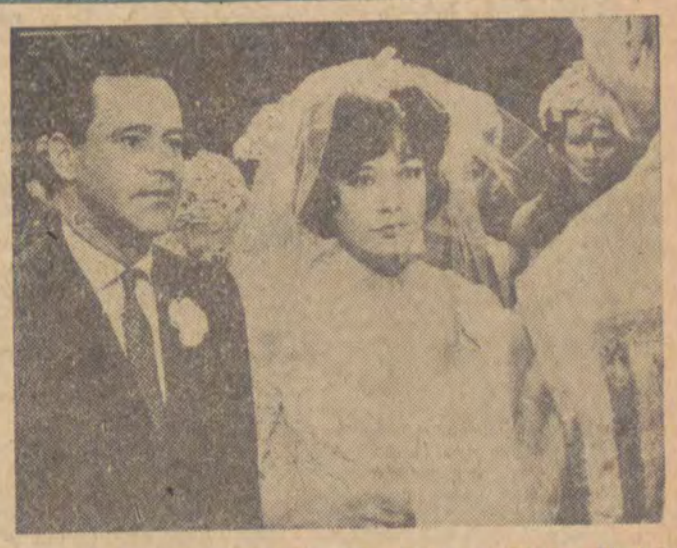

Jack Lemmon i Shirley Mac Laine w filmie „Słodka Irma".

TADEUSZ SŁUPECKI

PODRÓŻ (III) DO KRAINY VARIETÉ

Pociąg pośpieszny z Lipska do Drezna składa się z kilku jednopiętrowych, ciężkich wagonów o nieco niezgrabnej sylwetce. Co przezorniejsi pasażerowie, (a nuż wydarzy się jakiś wypadek!) dekują się asekurancko na parterze Ja wybieram przedział na piętrze z uwagi na lepszy widok. Uprawione, szare pod pochmurnym niebem pola, chłopskie zagrody i wsie, zwyczajne miasteczka... Aż nie chce się wierzyć, że w tym spokojnym kraju, włączonym dziś w krąg nowych, tworzonych przez socjalizm praw i obyczajów — mogli kiedyś mieszkać ludzie, co w roku 1939 wtargnęli na nasze ziemie z bronią w ręku, w mundurach hitlerowskiego Wehrmachtu.

Po dwóch godzinach jazdy — Drezno. Na peronie oczekuje mnie przedstawiciel tamtejszej Gastspieldirektion, młody, sympatyczny „dramaturg" czyli ktoś w rodzaju naszych kierowników artystycznych. Potem obiad w hotelowej restauracji i wyjazd na jeszcze jeden spektakl estradowy. Tym razem popołudniowy, w Powiatowym Domu Kultury niedużego, leżącego w pobliżu Drezna, powiatowego miasta Pirna.

Wystawiany tam program Varieté pt. „Aprilscherze", przygotowany przez Gastspiel direktion z Drezna, był najlepszym z tego typu programów jakie obejrzałem w NRD. O jego poziomie zadecydowało pomysłowe zestawienie „numerów" poszczególnych solistów oraz dowcip na konferansjerka. Wieczorem — wizyta w „Cafe Prag", najelegantszym i właściwie jedynym kabarecie Drezna. Przed rokiem 1945 było ich tu kilka, ale zniknęły z powierzchni ziemi razem z większością zabytkowych gmachów tego pięknego miasta, po „dywanowym" nalocie lotnictwa alianckiego. Nalocie barbarzyńskim i niepotrzebnym z militarnego punktu widzenia, bo dokonanym prawie w ostatnich dniach wojny, kiedy klęska hitleryzmu była już absolutnie pewna i... kiedy stało się wiadomym, że miasto to zostanie po wschodniej części Niemiec.

Po paru kilometrach jazdy wśród pustych, zarosłych chwastami pól, które były niegdyś ulicami śródmieścia Drezna — dostaję się do „Cafe Prag". I znów przyjemna niespodzianka. Po dość przeciętnych programach kabaretów lipskich tu trafiam na program naprawdę interesujący. Głównie dlatego, że do elementów tradycyjnego Varieté — duetu parodystów muzycznych, akordeonisty, czterech zgrabnych „specjalistek" od zbiorowych popisów w wariackiej jeździe na wrotkach — dołączono dobrej klasy „śpiewającą aktorkę", zbierającą największe oklaski właśnie za dowcipne parodie słowne. Dowód, że właśnie tego typu rozrywki najbardziej pragnie dziś widz niemiecki.

* * *

Toteż nic dziwnego że w NRD ludzie, szukający wyjścia z jednostajności niemieckiego Varieté ostatnio chętnie sięgają po innego typu programy z zagranicy. Z Polski np. został zaangażowany na gościnne występy zespół Estrady Łódzkiej, który w styczniu 1964 roku wystąpi przed niemieckimi widzami z programem satyrycznym „Tele-fortele", wyróżnionym na ostatnim ogólnopolskim przeglądzie estradowym w Warszawie. Oczywiście, aby ten oparty na satyrze s ł o w n e j program był w NRD zrozumiany, szereg jego tekstów satyrycznych zostanie przetłumaczonych na język niemiecki. Jak podkreślili w Berlinie na konferencji z nami sympatyczni gospodarze, dyrektor generalny Deutsche Künstler-Agentur-Zielke oraz dyr. artystyczny, Kurt Brandes — Estrada Łódzka jest pierwszym zagranicznym kontrahentem NRD, który już w roku ub., w czasie gościnnych występów w NRD łódzkiego zespołu gitar hawajskich Jana Ławrusiewicza, wprowadził do swego programu szereg piosenek kompozytorów niemieckich i wykonywał je tam w tym języku, co przysporzyło mu wiele sympatii u tamtejszych widzów. Na marginesie: oprócz programu „Tele-fortele" w roku przyszłym do NRD wyjedzie ponownie, z nowym już programem, drugi zespół Estrady Łódzkiej, (gitary hawajskie). A do Łodzi Estrada sprowadza jeszcze w październiku br. ciekawe widowisko iluzjonistyczne z NRD, „Lossau Romano-Schau" oraz — w listopadzie br. — niewielki ale atrakcyjny zespół artystów niemieckiego Varieté.

* * *

Dalsze dwa dni pobytu w Dreźnie spędziłem na zwiedzaniu miasta i jego zabytków. Ale najbardziej lubiłem — jak zawsze — samotne włóczęgi, kiedy można gapić się dowoli na domy, ulice i wystawy sklepów.

I tu — podobnie na berlińskiej Karl Marks-Allee — oprócz ostatnio budowanych kolonii smukłych i przyjemnych bloków mieszkalnych, widać szare i przyciężkie gmachy z poprzedniego „okresu" pseudomonumentalnych ambicji architektów. I tu — podobnie jak w pierwszym okresie odbudowy naszej Warszawy — całe bloki nowego śródmieścia stawiano niemal wyłącznie z myślą o sklepach i urzędach, co mija się — jak sami się o tym przekonaliśmy — i z zasadą rentowności i z wygodą klientów, którzy albo muszą odbywać dalekie wędrówki po zakupy albo korzystają ze sklepów mniej nowoczesnych, ale za to bliższych ich domów. Do tego dochodzi jeszcze ta sprzeczna z pojęciem wielkiego miasta pustka, jaka po zamknięciu eleganckich sklepów panuje w tych dzielnicach wieczorami.

Za to o wygodzie klientów myślano przy budowie „Schnellimbisów" — popularnych w dużych miastach NRD barów, gdzie można zjeść tanio, szybko i na ogół smacznie. (U nas podobną rolę pełnią bary mleczne). Ceny w nich różne. W Berlinie obiad, tzw. „Eintopfessen", kosztuje 70 fenigów, w Dreźnie — podobnie jak w Lipsku — w „Schnellimbisach" za obiad mięsny płaci się półtorej marki, gdy niewiele lepszy posiłek w restauracji kosztuje już 5—7 marek. Ogólnie biorąc, żywność w NRD z którą mają tam trochę kłopotów, jest stosunkowo droższa niż u nas, za to ceny artykułów przemysłowych przeciętnie o 20—30 proc. niższe. Turystę uderza zwłaszcza mnogość i taniość urządzeń do nowoczesnego gospodarstwa domowego, ułatwiającego życie niemieckiej kobiecie.

* * *

Od „kobiecego" też tematu zaczęli ze mną rozmowę dwaj inni spotkani w Dreźnie rodacy, tym razem z branży artystycznej.

Sąd naszego, na prędce przy stoliku restauracyjnym zaimprowizowanego, męskiego „jury" z Polski, nie był zbyt łaskawy dla elegancji kobiet niemieckich, ale przecież rozmawialiśmy w konwencji żartu, który pozwala na tego rodzaju oceny.

Od kobiet na ulicy był tylko jeden krok do kobiet na scenie, a stąd — do problemów sztuki. Jesteśmy w sali restauracyjnej jedynymi mówiącymi po polsku gośćmi. To ośmiela moich rodaków do formułowania swoich ocen w sposób w towarzystwach „mieszanych", raczej nieużywany.

— I tak nas tu nikt nie rozumie — uspokaja moje obawy pierwszy rodak z branży artystycznej.

— Varieté u nich niezłe, piosenkarki słabsze — lapidarnie konstatuje drugi.

Potakuję. Brak dobrego humoru s ł o w n e g o i celnej satyry, już nie tylko polityczno-społecznej, ale nawet tej codziennej obyczajowej — uderza w programach estrady w NRD. Typ humoru w granych tam widowiskach Varieté — mimo przeprowadzenia widocznej selekcji i wyrugowania „dowcipów" o teściowej i garbatych — często pozostawia jeszcze wiele do życzenia. Zresztą, trzeba przyznać samokrytycznie. U nas również pod tym względem nie jest za dobrze.

Oczywiście, nie jest to jedyny i najważniejszy problem polityki kulturalnej NRD w dziedzinie muzyki i estrady rozrywkowej. Trzeba stwierdzić, że Partia i rząd w NRD poświęcają dużo uwagi „lekkiej muzie", co znajduje swój wyraz w zachęcaniu także wybitniejszych pisarzy i kompozytorów niemieckich do uprawiania twórczości estradowej. Przykładem troski o podniesienie jej poziomu i rangi artystycznej jest choćby fakt przyznania Nagrody Państwowej NRD, którą dawniej otrzymać było można tylko za dzieła z zakresu muzyki poważnej — Gertowi Natschinskiemu, znanemu kompozytorowi popularnych w NRD szlagierów rozrywkowych. Niemniej za masie pozytywnych wrażeń — bo przecież widziałem również wiele dobrych rzeczy, a w każdym razie rzeczy bardzo wiele zapowiadających. A już na pewno do bardzo dobrych należała sama podróż do NRD. Dla mnie — ze względu na spotkania z ludźmi — niezapomniana podróż.

Z tym pozytywnym wrażeniem wyjechałem z NRD. A także z przekonaniem, że kraj ten może nam przysłać niejeden ciekawy program Varieté i że warto będzie zapoznać z nimi widza polskiego. A nawet wzbogacić polską estradę o niejedno niemieckie doświadczenie.

Podsumowanie „PSTRĄGA"

Ubiegły sezon teatralny STS „Pstrąg" zamyka liczbą 50 spektakli. W tym czasie nie tylko zresztą występowano, ale i przygotowywano nowe programy. Zrealizowano ich cztery — „Sokrates tańczący", „Pełnym głosem", „Rogate dusze" i jeden program eksperymentalny opracowany pod kątem podnoszenia poziomu warsztatu aktorskiego.

W sezonie, który się kończy „Pstrąg" brał poza tym udział w Festiwalu Piosenki w Częstochowie, w Festiwalu Teatralnym w Krakowie, Festiwalu Teatrów Studenckich w Łodzi, w Przeglądzie Teatrów w Gliwicach oraz dał dwa wielkie koncerty w naszym mieście w Hali Sportowej i MDK.

No i wreszcie wiadomość z ostatniej chwili. Trójka piosenkarzy STS „Pstrąg" wyjeżdża na Festiwal Piosenki do Francji. Z czym wrócą zobaczymy.

J. W.

FIPS FLEISCHER und sein Orchester

RYSZARD ŻUROMSKI

Świat

świat nasz jest za stary
Piekło Czyściec i Raj
za stare są ideały
by świat pozostał ten sam

za młode są loty w Kosmos
prysnęły mity i czar
za młode pamiątki wojny
by świat pozostał ten sam

Kolejność rzeczy

O Wy, cnotliwe damy
którym wierna służba
klęcząc na klęcząco
składa w dowód hołdu
na srebrnym półmisku
ofiarę swych mordów
swego brata głowę
której jabłko Adama
pospolita grdyka
wykonywa ruchy do życia podobne
tak jak przełykała ślinę na Wasz widok
aby wziąć Was siłą
potem splunąć w łono.

O Wy, wierna służbo
składająca dary
nie wykonujcie ruchów
do życia podobnych
bo to jest już śmiercią
na srebrnym półmisku
a gdzież jest początek
— przełykanie śliny.

Człowiek będący w drodze

wody jest więcej
a ziemi mało
czemu nie żyjesz na wodzie
przekorne słońce zapytało
człowieka
wody jest więcej
a ziemi mało
czemu nie żyję na wodzie
powtarza człowiek będący w drodze
będący w drodze
będący w drodze do domu
którego nie ma na ziemi

Feniksy

najgorsze są feniksy
wspomnień
których popiół
dawno się rozwiał
po ziemi
w ziemi
nad ziemią
istnieją jako fekalia
kloaka podświadomości

Spotkania po 19 latach

Dalszy ciąg na str. 1

fabryka konserw, Bodaczów dostarcza znacznych ilości margaryny.

MÓWI PRZEWODNICZĄCY PREZ. WOJ. RN POSEŁ PAWEŁ DĄBEK:

— W roku 1939 w przemyśle woj. lubelskiego pracowało 19 tys. ludzi. Obecnie ponad 90 tysięcy. Mieliśmy wtedy zelektryfikowanych 50 wsi, obecnie 2 tysiące z 3.600. Jeżeli w latach minionych ludność czasem nawet wypędzała ze wsi ekipy elektryków, po roku 1956 walka o elektryfikację idzie wszystkimi drogami. Porównując dalej: mieliśmy w roku 1939 na Lubelszczyźnie 13 gimnazjów dziś 57, szkół siedmioklasowych 294 dziś 1.400, przy czym odczuwamy wielką potrzebę nowych budynków szkolnych. Szkoła ma być na wsi lubelskiej również centrum pracy kulturalno-oświatowej w środowisku dorosłych. W 460 szkołach działają już szkółki zdrowia, zespoły dokształcania rolniczego i zespoły artystyczne. Przystępujemy do budowy typowych domów higieny, w których znajdą się pomieszczenia na pralnię mechaniczną, łaźnię i zakład fryzjerski.

W ogóle obserwujemy ogromny run na budownictwo wiejskie. Jeśli do roku 1956 budowano na wsi naszej 2 tys. budynków rocznie, dziś wznosi się 25 tysięcy, a wszyscy wołają o cement, eternit do krycia dachów i cegłę.

Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na zupełne zaniknięcie zjawiska przestępczości typu przedwojennego, kiedy to kradziono konie, krowy, kury, snopy z pola. Dziś tego już nie ma.

Co sprawia nam kłopot szczególny? Problem małych miast, które otrzymały, jak np. Piaski, akty nadania przed kilkuset laty, a które dziś zdegradowano do rangi wsi. Dyskutujemy nad projektem utworzenia, wzorem francuskim, merostw łączących miasteczko i wsie pobliskie w jeden organizm na wspólnych prawach gospodarczych. (Chodzi o sprawy niebagatelne np. o przydziały węgla czy środków spożywczych inne dla wsi, inne dla miasta — przyp. autora). Np. taki Tarnogród liczący blisko 1.900 mieszkańców jest dziś wsią z własnym Technikum Ekonomicznym!

*

Zanim z Lublina wybierzemy się do Chełma i Puław zajrzyjmy na Uniwersytet im. Marii Curie-Skłodowskiej. Lublin liczy dziś 8 tysięcy studentów na 5 wyższych uczelniach. W roku 1939 istniał tu tylko KUL z 350 studentami. Uczelnie wypuściły już ponad 10 tys. absolwentów zatrudnianych głównie na ziemi lubelskiej. Stąd np. w Woj. Radzie Narodowej pracuje 70 proc. personelu z wyższym wykształceniem. Na UMCS działa 90 katedr, 2.500 osób studiuje na studiach stacjonarnych, 1.500 na zaocznych dla pracujących. Katedry prowadzą również badania naukowe niezbędne dla rozwoju określonych dziedzin przemysłu.

MÓWI PROF. DR WŁODZIMIERZ HUBICKI, KIEROWNIK KATEDRY CHEMII NIEORGANICZNEJ UMCS.

— Prowadzimy prace nad rozdzieleniem tlenków ziem rzadkich. Za podstawę służą nam apatyty, surowiec służący do produkcji nawozów azotowych. Kilogram tego surowca kosztuje 50 zł. Można uzyskać z niego 16 różnych pierwiastków, jak samar, meodyn, prazeodyn, lantan, cer, holm i inne mające ogromne zastosowanie w przemyśle. Wystarczy powiedzieć, że kilogram pierwiastka o nazwie lutek kosztuje ponad milion złotych. Katedra nasza opracowała już metody uzyskiwania 8 pierwiastków przyczyniając się w ten sposób nie tylko do zmniejszenia importu, ale do uniezależnienia się w tej dziedzinie od dostawców zagranicznych.

MÓWI PRZEWODNICZĄCY PREZ. MIEJSKIEJ RADY NARODOWEJ W CHEŁMIE, BOLESŁAW RYCERZ:

— Miasto zbudowane zostało na kredzie. Wiedzieli o tym dobrze nasi przodkowie, ryjąc w kredowym podłożu głębokie lochy, których rozległość ocenia się na kilkadziesiąt kilometrów w promieniu miasta, a które łączyły Krasnystaw, Zamość i Grody Czerwieńskie w jeden system fortyfikacyjny. Dziś lochy zapadają się, co stanowi swoisty kłopot miasta. Kreda jednak jest skarbem i nadzieją Chełma, który dziś liczy 33 tys. mieszkańców, a w roku 1985 liczyć ma już do 70 tys.! Centrum miasta rosnącego wzdłuż osi komunikacyjnej w kierunku cementowni, mieścić się będzie w okolicy tzw. „Dyrekcji" (gmachu projektowanej w roku 1938 nowej chełmskiej dyrekcji PKP) gdzie uchwalono i ogłoszono w roku 1944 Manifest PKWN. Połowa ludności miasta, ponad 15 tysięcy mieszka już w nowym budownictwie miejskim, spółdzielczym i domkach Cementowni Chełm.

MÓWI DYREKTOR NACZELNY CEMENTOWNI CHEŁM INŻ. TADEUSZ ZAKRZEWSKI:

— Nasza cementownia jest największą w kraju. Razem z Rejowcem dajemy jedną trzecią produkcji cementu w Polsce. Sam Chełm do roku ubiegłego produkował ponad 670 tysięcy ton, z czego jedna trzecia idzie na eksport. W roku 1965 ruszy budowa cementowni Chełm III, która w oparciu o gaz ziemny dostarczany gazociągiem z ZSRR produkować będzie wyłącznie cementy najwyższej klasy, w tym również kolorowe. W sierpniu tego roku rusza też budowa cementowni Chełm II, której pełny rozruch przewidziany jest na rok 1967, a jej zdolność produkcyjna wyniesie 1,5 mln ton rocznie. Ogółem Chełm będzie dawał w ciągu roku ponad 4 miliony ton cementu, nie licząc innych produktów, jak np. kreda nawozowa dla rolnictwa.

Czy są kłopoty z zatrudnieniem? Oczywiście. Bazujemy na tak zwanych chłopo-robotnikach spotykając się przy tym z zupełnie nowymi problemami socjologicznymi i... personalnymi. Dręczy nas np. stały „wzrost zachorowań" w okresie żniw i sianokosów. A cementownia pracuje dzień i noc! Cóż robić, gdy brak rąk do pracy. Wąskie gardło cementowni stanowi jednak transport w głąb kraju. Często dusimy się od nadmiaru cementu, którego nie sposób długo magazynować. Koleje, niestety, nawalają!

Jak przemysł cementowy rosnący wokół Chełma oddziaływuje na miasto? To już osobny temat. Wystarczy powiedzieć, że cementownia przeznaczyła pół miliona złotych na budowę wodociągów i kanalizacji w mieście, zbudowała park z basenem kąpielowym, przedszkole, osiedla mieszkaniowe, wzniesie technikum materiałów wiążących, zabiega o rozbudowę sieci komunikacyjnej, no i daje dobrze płatną pracę ludności miasta i okolicy.

*

Z małej, zacofanej przed wojną mieściny, która chlubiła się jedynie periodykiem literackim „Kamena" rośnie dziś nowoczesne miasto przemysłowe, które liczy się poważnie w gospodarce kraju.

MÓWI INŻ. JAN ZDEBIK, KIEROWNIK BUDOWY KOMBINATU AZOTOWEGO W PUŁAWACH:

— Dlaczego wielki kombinat chemiczny budujemy w Puławach? Po pierwsze rolniczy charakter województwa wymaga, by na miejscu był zakład produkujący nawozy azotowe i mocznik. Po drugie dla wielkich syntez potrzebne są wielkie ilości wody. Wisła dostarczy nam tych ilości wody. Po trzecie mając w perspektywie regulację Wisły bierzemy pod uwagę dogodność transportu wodnego, wykorzystania barek transportowych płynących do Nowej Huty.

W pierwszym etapie, to jest w roku 1966—67 produkować będziemy 900 ton amoniaku i 1.500 ton mocznika na dobę. W końcu drugiego etapu rozbudowy (1968—69) analogicznie 1.500 ton amoniaku i 2.500 ton mocznika. Trzeci etap budowy przewiduje wzniesienie działu produkującego polichlorek winylu, żywice, propyleny i etyleny. Wtedy zarówno nawozy azotowe i mocznik staną się „produkcją uboczną". Wysoka rentowność produkcji działu III pozwoli na znaczne obniżenie cen nawozów.

Czy budujemy zakład na współczesnym poziomie technicznym? Licencje na budowę jednostek zautomatyzowanych dla produkcji amoniaku zakupiliśmy w firmie duńskiej. Jeśli dziś w innych zakładach uzyskujemy z jednej kolumny 50 ton, tu osiągniemy 300 ton. Technologię produkcji mocznika zakupiliśmy w firmie angielskiej, która opiera się na patentach japońskich, mających jak dotąd, absolutne pierwszeństwo na rynkach świata. Pod koniec drugiego etapu budowy będziemy zatrudniali 5 tys. ludzi. Gdyby przyjąć dzisiejsze stadium „nowoczesności" potrzeba by około 15 tysięcy! Praca w kombinacie wymagać będzie jednak wysokich kwalifikacji technicznych.

Opuszczam budowę kombinatu, gdzie właśnie wznosi się wytwórnię azotu i mocznika, elektrownię, brnę przez olbrzymie góry złotego wiślanego piasku, przez wykopy dla rurociągów, które połączą poszczególne działy rozległego, tonącego wśród sosnowych lasów obiektu. Tylko 15 procent urządzeń skryje się pod dachami, cała fabryka stanie pod gołym niebem. Fabryka, na którą ziemia lubelska czekała od dawna. Wystarczy powiedzieć, że 1 kg nawozu azotowego to blisko 10 kg zboża więcej.

I taka jest mniej więcej współczesna Lubelszczyzna. Mniej więcej, bo przecież opis jej nie jest pełny. Trzeba by jeszcze coś o Fabryce Samochodów Ciężarowych w Lublinie, o Kraśnickiej Fabryce Wyrobów Metalowych, o Świdniku, o Poniatowie, gdzie wokół fabryk wyrosły całe miasta.

To na pewno nie wszystko co tu zrobiono w ciągu 19 lat.

I trzeba by przede wszystkim o ludziach Lubelszczyzny. Ale to już osobny temat.

WIESŁAW MACHEJKO

PIEKŁO RODZINNE

Dalszy ciąg ze str. 2

Wróciliśmy do domu wieczorem, chcieliśmy powiedzieć siostrze, że go bierzemy, ale tu już czekała milicja. Wtedy ich wezwała, meldując, że niby siostra chce jej porwać dziecko.

Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie chciała mi go oddać, ludzi się wstydziła, czy co? Ale jak chodziła później na milicję z wyssanymi z palca donosami, że chłopiec należy do bandy, to wstydu nie miała.

Kiedy przed rokiem wrócił z Wałbrzycha nocował kilka dni u kolegów, bo siostra go nie wpuściła, chociaż ojczym był już nawet skłonny się zgodzić. Więc wzięłam go do siebie. Z opieki dawali mi zapomogi, przyrzekali więcej, jak tylko wysądzą alimenty od rodziców ale mimo wszystko, było nam za trudno. Gdyby był mój... Teraz już, niestety, zbyt późno. Po tych kilku miesiącach z ciężkim sercem pożegnaliśmy chłopca. To naprawdę dobry chłopiec, aż dziw, że w takich warunkach nie zdemoralizował się, nie poszedł na ulicę. Z drobnych, co mu dawałam, umiał sobie nawet zaoszczędzić 60 złotych na książeczce PKO. Uczy się w wieczorowej szkole elektrycznej i pracuje. Jako uczeń dostaje tylko 260 złotych. Przyrzekliśmy mu, że jak już potrafi zarobić na siebie, wróci do nas...

Nie ma podstaw, by nie wierzyć tym słowom. Potwierdzi je sam chłopiec, który zachował dla ciotki najlepsze uczucia i często ją odwiedza. Potwierdzi je pani urzędniczka z referatu opieki społecznej. Potwierdzi wreszcie fakt najbardziej wymowny: państwo ci przed pięciu laty adoptowali niemowlę. Wzięli chłopczyka wprost z kliniki, nie miał jeszcze tygodnia.

Jak twierdzi ciotka chłopca, siostra tylko czeka, by malec podrósł i coś mógł zrozumieć. Wtedy — obiecuje — przede wszystkim powie mu, że nie jest synem swojej matki. To ma być jej zemsta. Zemsta „za wszystko".

W Prezydium DRN Bałuty już rozglądają się za innym mieszkaniem dla Siostry. Trzeba przeciąć ten węzeł gordyjski, trzeba też, ratować jasnowłosego malca, który ma odpowiadać „za wszystko".

BEZKARNOŚĆ

W najbliższym czasie przed Sądem Powiatowym w Łodzi odbędzie się dość dziwny proces o alimenty. To referat opieki społecznej pozywa oboje rodziców. Proces powinien odbyć się już dawno, ale ojciec z Wałbrzycha dotychczas nie przysłał zaświadczenia o wysokości zarobków. Zwracano się do firmy, ale i to bez skutku.

Jeśli sąd przyzna alimenty, będzie to pierwsza sankcja, z jaką spotkają się rodzice chłopca.

Dotychczas wszystko im uchodzi. Oboje są dobrze sytuowani materialnie. Jednak ojciec nie łoży na dziecko już od roku pod pozorem spłacania kosztów munduru, który chłopiec otrzymał ze szkoły górniczej. Zaiste, najdroższy to mundur w świecie. Zaś matka z telewizorem i pralką od dwóch lat nie poświęciła dla syna ani grosza. Potrafi natomiast wyjść na balkon i głośno, na całą ulicę wykrzykiwać, że siostra żebrze pieniądze w opiece społecznej na jej dziecko. Potrafiła w obliczu urzędnika oświadczyć, że syn nic a nic ją nie obchodzi, jeśli nie ma gdzie iść, to może się powiesić, kiedy go spotyka, idącego do siostry, odwraca głowę.

Wszystko, co chłopiec ma na sobie, co wkłada do ust, pochodzi z opieki społecznej lub od współczujących ludzi. Kilka osób, z urzędu czy z własnej dobrej woli, krząta się, by jakoś zapewnić chłopcu egzystencję. Sądzę, że sens tego artykułu jest dla wszystkich zrozumiały.

JULIAN BRYSZ

ogłoszenia str. 5

NIE MA SPOKOJU POD OLIWKAMI

Via Vittoria w Agrigento, na której zamordowano Cataldo Tandoja

20 marca 1960 roku w Agrigento na Sycylii, na cienistej i szerokiej via Vittoria, spokojni przechodnie usłyszeli nagle odgłos 5 wystrzałów. Komisarz policji Cataldo Tandoj wracał właśnie do domu razem ze swoją piękną żoną Leilą Motta. 5 kule ugodziły w komisarza, który zginął na miejscu, jedna w 17-letniego studenta Ninni Damanti, który zmarł wkrótce potem w szpitalu. Kilku przechodniów dostrzegło nawet zbrodniarza zbiegającego błyskawicznie po skarpie, na której leży via Vittoria, w kierunku słynnej doliny świątyń greckich. Pogoń była jednak bezcelowa. Znikł on natychmiast wśród ruin i ciemności.

Sprawa przedstawiała się bardzo tajemniczo. Jedno nie ulegało wątpliwości. Zabójstwo zostało starannie i przemyślnie przygotowane. Cataldo Tandoj na własną prośbę i z uwagi na swe zasługi, przeniesiony został służbowo do Rzymu. Po 9-miesięcznej nieobecności wrócił na kilka dni do Agrigento, by załatwić parę spraw i zabrać swą żonę Leilę. Morderca musiał znać wszystkie poruszenia komisarza. Wybrał też znakomite miejsce, pozwalające na natychmiastową ucieczkę. W trakcie śledztwa ustalono, że Tandoj nie był Sycylijczykiem. W Agrigento zjawił się w 1947 r. W r. 1948 został szefem miejscowej policji. Jego specjalnością były sprawy kryminalne. Ze swych obowiązków wywiązywał się w sposób dość szczególny. Okazywał znakomitą zręczność w sprawach drobnych złodziejaszków i rabusiów drogowych, o wiele mniejszą natomiast przebiegłość w wypadkach bardziej poważnych, np. w wypadkach głośnych zabójstw. Prowadzących śledztwo zainteresowało jednak bardziej życie prywatne zamordowanego.

Komisarz należał do miejscowej śmietanki towarzyskiej. Prowadził życie światowe. Miał pokaźne konto w banku, nie seryjną Lancię i kolekcję znaczków pocztowych, wartości paru milionów. Żonę ubierał wspaniale. Skąd brał pieniądze? Pensja komisarza policji nie mogła na to wystarczyć. Nie ujawniono też żadnych prywatnych źródeł dochodu.

„Dolce vita" w Agrigento obfitowało w różne „niebezpieczne związki". Jednym z bardziej znanych był związek między piękną żoną komisarza Leilą Motta i profesorem Mario La Loggia, znanym lekarzem, dyrektorem zakładu dla obłąkanych i bratem jednej z najbardziej wpływowych osobistości politycznych na Sycylii.

Tandoj był znakomicie poinformowany o naturze stosunków łączących jego żonę z profesorem. To nie przeszkadzało mu jednak pozostawać w przyjaźni z La Loggią. W jego papierach znaleziono nawet list profesora błagający Tandoja o niezabieranie Leili do Rzymu. „Jeśli ją wywieziesz z Agrigento — pisał La Loggia — będę zrujnowany".

Zabójstwo Tandoja stało się od razu sensacją numer jeden całych Włoch. Rozchwytywano gazety, poświęcające tej sprawie całe kolumny i nadzwyczajne dodatki. Opinia publiczna trzęsła się od plotek i przypuszczeń. Mówiono, że to La Loggia opłacał luksusowe życie komisarza i jego żony, w zamian za miłość tej ostatniej. Chcąc uniknąć upokorzeń i śmieszności Tandoj wolał przenieść się do Rzymu i groził nawet lekarzowi, o ile ten nie zostawi jego żony w spokoju. Wszystko to były plotki. A fakty? Leila nie chciała przenieść się do stolicy, to prawda. Nie tyle jednak ze względu na kochanka, ile z uwagi na pozycję jaką zajmowała w Agrigento. Tu była królową. Kochali się w niej wszyscy mężczyźni. Podziwiano ją i wielbiono. Otaczała ją niemal legenda. W Rzymie zniknęłaby w tłumie.

Śledztwo ciągnęło się miesiącami. I wszyscy zapomnieli już prawie o całej tej historii, gdy nagle wybuchła bomba.* Pewnego, jesiennego wieczoru La Loggia wydał wielki bal, w którym uczestniczył miejscowy high-life. Tańczono, piło, grano w karty. Zabawa trwała do rana. A kiedy goście rozeszli się do domów, do drzwi profesora zadzwoniła policja. Aresztowano La Loggię, Leile i jeszcze dwóch osobników, członków mafii: Salvatora Pirrerę i Salvatora Calacione. Ówczesny prokurator Republiki zwołał konferencję prasową, na której oświadczył, iż sprawa została właściwie wyjaśniona. Chodziło o zwykłą zbrodnię na tle miłosnym. La Loggia nie chciał rozstawać się z Leilą. Ukartowali więc oboje wieczorny spacer po via Vittoria. La Loggia porozumiał się z członkiem mafii Calacione i ten podjął się roli zabójcy. Zastrzelił Tandoja, przypadkowo trafił młodego chłopca i zbiegł po skarpie. Na dole czekało nań już auto, prowadzone przez Pirrerę. Błyskawicznie pomknęli w stronę doliny świątyń. Zapytany przez dziennikarzy, czy ma na to jakieś konkretne dowody, prokurator oświadczył, iż „są poszlaki". A poszlaki, z prawnego punktu widzenia, stanowią dowody".

Oskarżeni zaprzeczali jednak wszystkiemu. Wyjaśnienie było zresztą mocno naciągnięte. Chociażby z uwagi na fakt, że strzelając do Tandoja Calacione mógł przecież zabić także i Leilę, prowadzącą męża pod rękę.

Po 7 miesiącach aresztu całą czwórkę uwolniono od ciążących na niej zarzutów. Leila przeniosła się do Neapolu i rozpoczęła studia. Profesor wrócił do swojej kliniki. Sprawa poszła w zapomnienie. Dziwnym zbiegiem okoliczności, wszyscy ci, którzy szczególnie głośno opowiadali się za zbrodnią na tle namiętności, wynieśli się z Agrigento, m. in. prokurator Ferrotti, prefekt Querci, komisarz Monteleone. Czy fakt ten łączył się w jakiś sposób ze sprawą Tandoja? Czy hipoteza głosząca, że zbrodnię popełnili oboje kochankowie, została przez kogoś świadomie zmontowana i dlaczego?

Odpowiedzi na te pytania próbowali udzielić ludzie zorientowani w sytuacji politycznej na Sycylii. Nie uszło ich uwadze, że w Agrigento, podobnie jak i w całej Sycylii, chadecja dzieliła się na dwa przeciwstawne i rywalizujące ze sobą obozy. Na czele jednego, bardziej postępowego i popierającego Fanfaniego, stał właśnie poseł Giuseppe La Loggia, brat znanego nam już lekarza. Obozem drugim, reakcyjnym kierowała grupa mniej znanych, ale nader wojowniczo nastawionych osobistości, pozostająca w ścisłych związkach z mafią. W lutym 1959 roku upadł rząd Fanfaniego. Nastąpił okres krótkiego panowania centroprawicy, którego szczytowym punktem było dojście do władzy rządu Tambroniego. La Loggia przeżywał moment krytyczny. Jego przeciwnicy polityczni dokładali wszelkich starań, aby go „wykończyć" przynajmniej w oczach opinii publicznej. Sprawa zabójstwa Tandoja była wymarzonym pretekstem, aby ugodzić w dobre imię rodziny posła, a tym samym zniszczyć jego karierę. Nie mamy jeszcze jednak odpowiedzi na pytanie, kto zabił Tandoja i dlaczego. Nowy prokurator generalny Garofalo zarządził ponowne wszczęcie śledztwa i powierzył je młodemu, energicznemu i bardzo zdolnemu zastępcy prokuratora, doktorowi Fici. Śledztwo ujawniło, nieznane dotąd i bardzo znamienne aspekty osoby i życia komisarza Tandoja. Okazało się, że był on rzeczywiście bardzo zdolnym policjantem, obdarzonym dużą intuicją i inteligencją. Miał kapitalnego nosa w rozpłątywaniu różnych, najbardziej zawiłych wypadków. Ale swoje zdolności nie zawsze wykorzystywał dla szlachetnych celów. Jego kariera rozpoczęła się 4 lutego 1947 r., kiedy to zamordowano geometrę Accursio Miraglia, sekretarza izby pracy w Sciacca. Tandoj prowadzi śledztwo i oskarża trzech znanych członków mafii. Ci przyznają się do winy, ale w sądzie zaprzeczają wszystkiemu i zostają uniewinnieni. Wyszedłszy na wolność oskarżają komisarzy Tandoja i Zincone o stosowanie tortur w czasie śledztwa. Policjanci zostają również uniewinnieni. Wypadek paradoksalny. Bo jeśli nie stosowano tortur, to ludzie mafii przyznali się dobrowolnie do winy. A zatem... Ale nikt nie wyciągnął wniosków z całej tej dziwnej sprawy. Jedynie komisarz Zincone został „służbowo" przeniesiony na Sardynię, gdzie wkrótce umarł na serce.

Tandoj pozostał w Agrigento. Ale dobrze zrozumiał daną mu nauczkę. Zrozumiał jak należy wymierzać sprawiedliwość w kraju, w którym rządzi mafia. Żadna z licznych zbrodni politycznych, popełnionych w prowincji Agrigento począwszy od roku 1947 nie została ukarana. A było ich wiele. Wystarczy przypomnieć tylko parę najgłośniejszych. W r. 1948 zamordowano w Gibellina Vincenzo Campo sekretarza chadecji, w 1951 r. w Alesandria della Rocca — Eraclide Giglio — jednego z przywódców chrześcijańskiej demokracji.

Duży rozgłos wywołała śmierć adwokata Montaperto, sekretarza chadecji w prowincji Agrigento. 14 września 1954 r. wracał on autem z Gela do Agrigento w towarzystwie kilku wybitnych i znanych na Sycylii osobistości politycznych, należących do obozu przeciwników La Loggii. Za tzw. „zakrętem śmierci" wóz zatrzymała grupa zamaskowanych bandytów, którzy rozkazali pasażerom opuścić samochód. Poznawszy adwokata Montaperto, bandyci zastrzelili go na miejscu. Rzecz wprost niewiarygodna, mimo obecności naocznych świadków zbrodni sprawa została umorzona z „powodu braku poszlak". W r. 1960 zamordowano również ojca adwokata Montaperto.

Cataldo Tandoj był człowiekiem bardzo inteligentnym. Ale czy równie nieskazitelnym? Mówiono, że mafia kupiła jego sumienie i milczenie. Faktem jest, że wiedział o wszystkim, znał sprężyny, ludzi i kulisy. Milczał jednak. Więcej, hamował działanie sprawiedliwości. Ale notował i rejestrował wszystko. Wiele mówiono po jego śmierci o tajnej „czarnej teczce" Tandoja. Została ona odnaleziona i znajduje się w posiadaniu doktora Fici, który nie ujawnił jeszcze jej zawartości. Tandoj zwierzył się jednemu z przyjaciół na krótko przed śmiercią „Mam zapisane wszystko, co zdarzyło się w Agrigento od 48 roku do dziś. Moje „notatki" pomogą mi zrobić karierę w Rzymie".

Czy zawartość „czarnej teczki" wydała się komuś niebezpieczna? A może Tandoj dlatego prosił o przeniesienie do Rzymu, że nie czuł się już zbyt pewnie na terenie Agrigento? Może naraził się któremuś z groźnych przyjaciół mafii? Na Sycylii nigdy nic nie wiadomo. Kto igra z mafią, może łatwo spłonąć. Wystarczy drobiazg, maleńkie uchybienie regułom gry. Tandoj uczestniczył dość często jako doradca lub też mediator w różnych interesach, w które zamieszana była mafia. W zamian za to otrzymywał wysokie wynagrodzenie.

Doktór Fici analizuje bardzo dokładnie wszystkie akta sprawy, dotyczące życia zawodowego i prywatnego Tandoja. Studiuje protokóły policyjne, raporty, dokumentację procesów sycylijskich.

„W tym środowisku — mówi doktór Fici — prowadzić śledztwo może tylko rodowity Sycylijczyk. W zasięgu działania mafii wszelkie stosunki społeczne ulegają znacznym odchyleniom od normy. Panuje tu zupełnie inna mentalność, niezrozumiała dla ludzi z innych rejonów Włoch.

Ponadto trzeba być odważnym. Uczciwe prowadzenie śledztwa w tych warunkach, może być niebezpieczne także i dla sługi sprawiedliwości".

Biała strzałka wskazuje drogę ucieczki mordercy ze ze skarpy w kierunku doliny świątyni.

O. H. LESLIE

Irwin Goddard był właścicielem małego sklepu z antykami przy Drugiej Avenue. Prawdę mówiąc, ten sklepik wydawał się zawsze marnym interesem, a ostatnio Goddard chyba do niego jeszcze i dopłacał. Tak czy owak, klienta nie widywano w antykwariacie całymi tygodniami, cóż więc dziwnego, że Goddard miał zazwyczaj taką minę, jakby się napił octu siedmiu złodziei. Ale był to uparty facet i nie chciał zmienić zawodu. Nie poddawał się. Czekał na swoją szansę, na swój wielki los.

Dlatego można go było spotkać na każdej niemal licytacji. W Galerii Hoovera, gdzie licytacje zawsze są najciekawsze, Irwin siadywał w ostatnim rzędzie, przeglądał katalogi — i czekał.

Tym razom meble i sprzęty nie zainteresowały go. Ożywił się dopiero pod sam koniec licytacji, kiedy na podium wniesiono starą, marynarską skrzynię o pięknych miedzianych okuciach.

— Uwaga! — powiedział prowadzący licytację — Ta skrzynia pochodzi ze spadku po Montague Willigray, sławnym nowojorskim finansiście! Zawiera przedmioty, których nie będziemy wyszczególniać. Niech one stanowią rodzaj premii dla tego, kto kupi skrzynię. A więc zaczynamy! 50 dolarów! Kto da więcej!

Goddard miał zaufanie do Galerii Hoovera i wiedział, że tutaj przedmioty są przed licytacją uczciwie wyceniane. Podniósł rękę na znak, że daje pięćdziesiąt dolarów. I tak oto skrzynia przeszła na jego własność.

W sklepie, kiedy ją otworzył mina bardzo mu zrzedła: skrzynia, jak skrzynia, nic szczególnego. A wewnątrz? Wyciągał z niej po kolei: męską koszulę, parę schodzonych safianowych pantofli, ledwie napoczętą butelkę whisky, ze staromodną, wyblakłą aż do nieczytelności naklejką, kasetę z tanimi spinkami do kołnierza. I wreszcie starą, wyświechtaną marynarkę kroju lat osiemdziesiątych. To wszystko.

— Do diabła — powiedział Irwin i ze złością kopnął skrzynię — Do diabła! Znów straciłem pięćdziesiąt dolarów.

Stał tak pochylony nad swym łupem, trzymając w ręku tę butelkę. Zastanawiał się czy się z rozpaczy nie upić: whisky była stara, pamiętała zapewne lepsze czasy. Ale strata dotknęła go boleśnie, ostatnio każdy grosz miał już dla niego wielkie znaczenie. Cisnął butelkę do skrzyni i raz jeszcze zaczął przeglądać jej żałosną zawartość. Spinki były tandetne, tombakowe, że też milioner chciał takie nosić. W kieszeni marynarki znalazł starą piankową fajkę. Już chciał wrzucić do skrzyni cuchnący naftaliną łach, kiedy pod palcami coś mu zaszeleściło. Pod klapą była schowana mała kieszonka. Irwin wyciągnął z niej starannie złożony arkusik papieru i czując że serce zaczyna mu mocno bić, wyprostował go, a potem przeczytał datę wypisaną dużym, zamaszystym pismem: „24 listopada 1872 roku".

— O, do licha! — powiedział zaskoczony i podszedł do okna. W smudze światła czytał ten stary dokument, pojmując, że jednak opłaciło się kupić skrzynię za pięćdziesiąt dolarów.

„Ja Montague Willigray, będąc przy zdrowych zmysłach, wyznaję niniejszym, iż 17 listopada 1872 roku zabiłem, plamiąc swe ręce niewinną krwią mego wspólnika Jaremiasza Fleetwooda. Zbrodnia ta nie daje mi spokoju i widzę tylko jeden sposób by zmyć mą winę: już jestem gotów wejść na tę drogę. Oby mój los był przestrogą dla tych, którzy jak ja, zaślepieni chciwością, w obawie iż świat dowie się o ich nieuczciwości, zmażą ręce niewinną krwią.

Montague Willigray

* * *

Willigray House — wielki ponury dom schowany w głębi starego parku — nie mieścił muzeum jak się to Irwinowi dawniej zdawało. Mieszkała w nim jedyna spadkobierczyni majątku tej rodziny, stara, zdziwaczała panna Sara Willigray. Goddard zapowiedział swoją wizytę telefonicznie i natychmiast zgodziła się go przyjąć.

— Bardzo miło z pana strony, że pan mnie odwiedza — powiedziała skrzypiącym głosem, wprowadzając go do staromodnego salonu. — Pan jest antykwariuszem? Świetnie się składa, bo pokłóciłam się z tymi spryciarzami od Hoovera i szukam kogoś kto by mi pomógł sprzedać resztę urządzeń tego domu.

— Niestety — powiedział Irwin z uśmieszkiem przylepionym do warg — Niestety: ja nie przychodzę w sprawach kupna. Wręcz przeciwnie...

— Jakto? — zdziwiła się panna Sara — Niech pan pomyśli! Mógłby pan zarobić paręset dolarów. Widzi pan, postanowiłam sprzedać ten dom i przenieść się na prowincję. Tak uzyskane fundusze w całości chcę przezna

„Romeo i Julia za czwartym falochronem“

Teatrzyk Dziennikarzy i Aktorów w Kielcach „Romeo i Julia za czwartym falochronem” (improwizacje sceniczne oparte na dramacie „Romeo i Julia”, listach do Teresy z „Dookoła Świata” i ogłoszeniach matrymonialnych).

Scenariusz: Elżbieta Szaniawska, Wiesław Barański, Ryszard Smożewski; **reżyseria — inscenizacja:** Ryszard Smożewski; **współpraca reżyserska** Jerzy Wasiuczyński.

Teatrzyk wystąpi: w Piotrkowie 27. VII. 63, w Tomaszowie 28. VII. 63, w Aleksandrowie 29. VII. 63, w Pabianicach 30. VII. 63, w Zduńskiej Woli 2. VIII. 63, w Bełchatowie 3. VIII. 63, w Sieradzu 4. VIII. 63, w Łodzi 31. VII i 1. VIII. 63 w sali Teatru 7.15.

IV turniej poetycki o „Czerwoną Różę“

ZSP — Klub Studentów Wybrzeża „ŻAK” w Gdańsku i KW ZMS w Gdańsku ogłaszają IV Ogólnopolski Turniej Poezji Społecznie Zaangażowanej o nagrodę „Czerwonej Róży” — na zestaw trzech niepublikowanych wierszy. Każdy uczestnik ma prawo nadesłać dowolną ilość zestawów.

Prace należy nadsyłać pod godłem — na adres Rada Naczelna ZSP Komisja Kultury „Turniej Czerwonej Róży” — Warszawa ul. Ordynacka 9.

Turniej ma charakter otwarty. Termin nadsyłania prac upływa w dniu 15 października 1963 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Jury przyzna trzy pierwsze nagrody w wysokości: 5000, 3000, 2000 zł.

JERZY WALEŃCZYK

IDEAŁY ŻYCIOWE (V)

Dla interesującego zagadnienia postaw życiowych kapitalną egzemplifikacją jest dość dawno publikowana, niedostatecznie jednak zauważona u nas książka Erskina Caldwella: „Sługa boży“. Jakże wspaniałe studium człowieka, którego znajomość psychologii prymitywu prowadzi do zabawnych, nie mniej realnych sukcesów.

„Jestem Semon Dye — powiedział mierząc Claya od stóp do głów takim spojrzeniem jakby miał przed sobą kołek. — A ty coś za jeden?“.

Semon Dye to inteligentny hochsztapler, który potrafi doskonale urządzić Claya, farmera, którego główną winą jest nieznajomość Semona Dye.

Semon Dye, to wędrowny kaznodzieja, karciarz, wydmikufel, opój, donżuan, nie gardzący kolorowymi kobietkami, znający ich smak. Semon Dye posiada jeden walor: inteligencję i niebywały tupet, a raczej diablo inteligentny tupet i nie wie, co z nim począć, a poczyna sobie „niewąsko“.

„Zapamiętaj sobie, nie podnoś nigdy reki na sługę bożego. Jestem Semon Dye“. Prezentacja jest dokonana w sposób jednoznaczny, arbitralny, nie znoszący sprzeciwu, ostrzegawczy, ustalając od razu dystans i motto do osoby. Semon Dye to bohater literatury amerykańskiej, który jest sui generis selfmadmanem w warunkach wsi, farmerów, nie ukształtowanych stosunków, nie uczonych głów, biologicznego, prężnego pożądania, gdzie Semon Dye jest chetny do wygłoszenia małego kazanka:

Trzeba sobie uświadomić, że amerykańskie stosunki, gdzie od lat działa multum rozmaitych sekt, racjonalnie wykorzystujących psychologię przecietnego Amerykanina, robi dobry business. Dobry business nie jest zły. Tak jak mówi się u nas o wódce: dobra wódka nie jest zła.

Ideałem życiowym Semona Dye to przede wszystkim wykazanie, że on jest istotnie nikim innym tylko Semonem Dye, cokolwiek by ktoś o tym nie myślał. Sługą bożym, wędrownym tułaczem, przypominającym o grzechach, o winie, o karze, o pokucie.

Caldwell pokazuje amerykańską wersję jak gdyby, nie ściśle mówiąc, Cyganki bardzo inteligentnej, skontaminowanej z postacią społecznego szarlatana, beztroskiego wobec ideałów, które rzekomo reprezentuje, przedstawiciela branży, która rozwinęła się w społeczeństwach dwudziestowiecznych.

Na czym polega sukces Semona Dye, znakomitego psychologa dla ubogich, węszącego świetny interes w kompleksach Claya, jego konstelacji towarzyskiej, środowiskowej. Semon Dye ma podstawową bazę wyjściową: własne przekonanie, że jest lepszy od innych. Mniejsza o to czy jest lepszy czy nie. Ale jest sam o tym przekonany i to przekonanie jest niezachwiane. Taka baza uprawnia go do dezyderatów, szalbierstw, uzurpowania sobie własności Claya, jego myśli, przyporządkowania ich sobie, swoim zamiarom. Ale bądźmy sprawiedliwi. Semon Dye — ideał życiowy szarlatanów ma swoje zalety i potrafi palnać piekne kazanko, ba, potrafi wzbudzić skruchę wśród zebranych na modlitwy w wiejskiej szkole, potrafi doprowadzić ich do ekstazy, zbiorowego uniesienia mocą sugestii, zjednoczonej woli zebranych, oczyścić ich od przeżytków, grzechów, nieczystości.

Caldwell stwierdza, że Semon Dye, doprowadza rozhisteryzowane kobiety do apogeum ekstazy, w której momenty seksualne, intuicyjne, mistyczne, racjonalne, rozrywkowe jednocza się w przedziwny sposób, aby wygnać diabła z duszy.

Semon Dye w innej wersji, mutatis mutandis był spotykany w ostatnim pięćdziesięcioleciu historii europejskiej. Model ten jest szczególny przez swoje osobliwe ambicje. Najbardziej fascynującą historią jest fakt, że Clay zaczyna gustować w chwytach szarlatana, poddaje im się bezwolnie, uznaje się a priori za kogoś kto winien słuchać szarlatana, bo on ma moc rozkazywania, mistyczną, ale często podlewaną kukurydzówką z glinianego gąsiorka, która jest tak świetna, że trzeba gasiorek ciągle uzupełniać. Szarlatan zachowuje się jak szarlatan, to znaczy ma niewzruszone przekonanie własnej misji, posiada całą gamę sztuczek, aby przyswoić sobie wszystko to co należało kiedyś do Clava. Zabiera mu samochód, kobiety i niewiele brakuje, aby mu wmówić, żeby mu oddał absolutnie wszystko.

Siła Semona Dye polega na tym, że ciągle powiększa, komplikuje game chwytów, uzurpuje sobie bez chwili wytchnienia wszystko, na jego dwoistości, dyferencjonowanej poprzez niezliczone drobne zabiegi aby ukazać, że on Semon Dye jest tym, który ma dar rozgrzeszania, dar udzielania rad, dar panowania nad psyche farmerów rozkwitających z dala od wielkich ośrodków cywilizacji, ludźmi, którzy chcą aby ich strofowano, pouczano, zbawiano, którzy chcą konwencji za wszelką cenę, którzy chcą istnieć jako pouczani, zbawiani, bo taka jest psychologia zachowania się tych grup społecznych, które mistrzowsko, obrazuje Caldwell.

Magia społeczeństw cywilizowanych ma swoich Semon Dye'ów, masochistycznych Clayów, którzy za szansę przeżycia znanego im od lat krajobrazu poprzez otwór w płocie powstały z wykruszonego sęka, gotowi są dać wiele.

Magia społeczeństw XX wieku ma swoje totemy, zakazy, formy, znaki. Ich niuanse, ich wysublimowane kształty, bądź wulgarne kształty nie są oczywiste i w żadnym razie nie mają jednoznacznych odpowiedników.

Zaklęcia ludów prymitywnych w społeczeństwach XX-wiecznych być może znajdują swoją kontynuację, ale jest to kontynuacja, którą może w przyszłości określi nowy Fraser, lub ktoś inny.

Zapewne: podstawowym zagadnieniem dla totemów, fetyszów, zaklęć, celebracji obrządku społecznego — będzie zagadnienie respektowania reguł gry społecznej, jako, jeżeli można to określić w ten sposób, parafrazując — najwyższe stadium ewolucji pojęć „umowy społecznej“ Jeana Jaquesa Rousseau.

A niezależnie od tego przypomina mi się trafny i dowcipny zwrot Gałczyńskiego: „Kryzys w branży szarlatanów...“.

„Zamek na szklanej górze“ — Janina Skołuba oraz Krzysztof Kumor, Eugeniusz Nowakowski, Andrzej Fedorowicz i Teresa Lipowska.
Fot.: Z. Janko

Teatr Smożewskiego

Dalszy ciąg

ze str. 1

dla nas smakiem autentyzmu, stała się elementem tego teatru walnie przyczyniając się do sukcesu. Liczne dyskusje jakie wywoływał ten spektakl, jego powodzenie, a także ruch jaki w prasie centralnej i radiu zaczął się wokół kieleckiej próby, zmieniły w pewnym sensie jej społeczną kwalifikacje z półamatorskiej improwizacji i zabawy w teatr, w działanie o dość rozległej społecznej doniosłości i takimż rezonansie, w trybuna wzgardzonych w zawodowym teatrze autentycznych treści współczesnych obyczajowego lub zgoła społecznego charakteru branych przez wykonawców Teatrzyku wprost z życia, z nieco prowokującą ostentacją, przynoszącą zawsze niezawodne echa. To już nie pojedyncza próba garstki dziennikarzy i aktorów, ale forma, która sprawdziła się w licznych konfrontacjach, forma autentycznie teatralna, a mimo tego bardzo wszechstronna, przemycająca treści, wciąż jeszcze stanowiące dla większości naszych teatrów poważne tabu, daremnie wyczekiwane przez łaknącą przede wszystkim prawdy o sobie publiczność „dorosłych“ scen.

Nie tylko jednak to swoiście pojmowane „przemytnictwo“ jest pasją Smożewskiego. Jego scenka wykazuje też niezwykle rozwinięty instynkt komplikacji formalnej wyraźnie zarysowany w ewolucji środków. Od prostoty „Pięciu pytań“ i „Klausa“ opartej nieomal w całości na zwięzłej, lapidarnej interpretacji aktora, poprzez głównie kompozycyjne komplikacje „Romea i Julii za czwartym falochronem“ do ostatniego programu „Zamek na szklanej górze“ jest to droga wyraźnie pogłębiającej się świadomości artystycznej.

„Zamek na szklanej górze“ oparty dla odmiany na tekstach „Świerszczyka“ jest czystą zabawą teatralną. Polega ona na kreowaniu podtekstu wbrew naiwnym słowom świerszczykowych wierszyków i piosenek. Zderzenie poważnych treści tego podtekstu zamykających w sobie sporą i często przenikliwą obserwacje psychologiczną z programową naiwnością słów rodzi zamierzony efekt komiczny, który decyduje o powodzeniu montażu i określa także jego wewnętrzną komplikację formalną. Podtekst ten, całkowicie niezależny od znaczenia słów, grany wbrew nim, z łatwością majoryzuje wyobraźnie widza, narusza jej własne rygory, własny porządek, emocje i skojarzenia. I znowu spotykamy się z charakterystyczną dla podobnego tworzywa opalizacją nastrojów. Komizm zyskuje dodatkowy, czesto liryczny ton, poprzez żart przebija się niekiedy powaga rzeczy ostatecznych.

Taki w najogólniejszych zarysach jest ten Teatrzyk. Z pozoru półamatorski, improwizowany, umowny — w istocie stawia sobie własne cele i wypracowuje własne środki, nie zawsze tożsame z środkami zawodowego teatru. Bliski założeniom i formom scen studenckich pracuje przecież w mieście i terenie w jakim publiczność niewiele przypomina wyrafinowane i chłonne audytorium teatrów młodzieży. A przecież — sprawdza się, tworzy własna problematykę, własny język, stając się jednym z fenomenów inicjatywy i potrzeby autentycznej twórczości teatralnej na dalekim, niedocenianym, bogatym zapleczu.

JAN PAWEŁ GAWLIK

czyć na rzecz naszej misji kwakierskiej w Liberii...

Była tak gadatliwa, że Irwin musiał jej przerwać. Chrząknął i nieswoim głosem zapytał:

— Przepraszam, czy pani mogłaby mi powiedzieć... to jest, czy pani słyszała kiedy o niejakim Jaremiaszu Fleetwood?

— Oczywiście — odparła stara panna nie namyślając się ani chwili. — To był współzałożyciel firmy, wspólnik naszego pradziadka.

— On umarł śmiercią... hm... gwałtowną, prawda?

Panna Sara uniosła wysoko brwi, co nadało jej twarzy niemiły wyraz.

— Jeśli dobrze pamiętam, ktoś go postrzelił na polowaniu.

Irwin westchnął i bez słowa oddał jej pismo pradziadka. Panna Sara uniosła brwi jeszcze wyżej. Przeczytawszy pierwsze słowa niezwykłego testamentu zbladła jak ściana. — Co to znaczy? — spytała ostro — Co to za sztuczka?

— Sztuczka? — powtórzył Irwin ze smutkiem w głosie. — To nie sztuczka, to autentyczny dokument. Znalazłem go w skrzyni kupionej wczoraj na licytacji.

— Ach w tej skrzyni, którą ci od Hoovera ściągnęli ze strychu? No dobrze: powiedzmy, że pismo jest autentyczne. I cóż dalej?

— Chciałbym je sprzedać — znów westchnął Irwin.

— Komu?

— Temu, kto da najwięcej.

— A ma pan już jakąś ofertę?

— Jeszcze nie: czekam aż pani coś zaproponuje.

Panna Sara umilkła. Wygładzała palcami pożółkłą kartkę papieru i nie odrywała od niej wzroku. A Goddard cicho powiedział:

— Myślę, że jestem na tropie spadkobierców biednego Jaremiasza. Ich pewnie to pismo bardzo zainteresuje. Jeśli oczywiście nie wzbudzi ono pani zainteresowania.

— Dobrze — powiedziała stara panna — do rzeczy! Ile?

— Dziesięć tysięcy dolarów.

— Dam pięć.

— Dziewięć...

Panna Sara wstała tak energicznie, że wywróciła krzesło.

— Siedem tysięcy. Za dwa dni przywiozę panu gotówkę. Irwin uśmiechnął się z ulgą i skinął głową. Pierwszy raz w życiu udał mu się tak dobry interes.

* * *

W dwa dni później przed sklep Goddarda zajechał ogromny Rolls-Royce. Irwin ujrzawszy go poczuł radosne podniecenie. Przemyślał już dokładnie, co zrobi z tymi pieniędzmi, które spadają mu jak z nieba. Poczynił już nawet wszystkie niezbędne kroki.

Sara Willigray wysiadła z wozu i w asyście szofera tak dostojnego jak admirał, weszła do sklepu. Na twarzy jej malował się wyraz nietajonej złości i odrazy.

— Chciałabym zobaczyć tę skrzynię — powiedziała bez żadnych wstępów.

Irwin śpiesznie wyciągnął skrzynię z kąta na sam środek sklepu.

— Poznaje ją pani?

— Tak — kiwnęła głową panna Sara — ta skrzynia należała do dziadka, był w młodości marynarzem — znów pokiwała głową i dodała — Szkoda, że nie wyrzuciłam ją na śmieci pięćdziesiąt lat temu. No ale kończmy nasze interesy...

Otworzyła ogromną, czarną torebkę i dwoma palcami dobyła z niej pękatą kopertę. Trzymała ją w wyciągniętej ręce.

— List, panie Goddard?

Irwin podał jej testament starego Willigraya. Panna obejrzała go uważnie, wrzuciła do torebki i dopiero potem podała Goddardowi kopertę z pieniędzmi.

— Tak, nie musi pan liczyć. Skończone — powiedziała. — I teraz mogę panu, panie Goddard powiedzieć, że jest pan łajdakiem. Zwykłym szantażystą. Nie chcę widzieć pana więcej na oczy.

Irwin uśmiechnął się kwaśno.

— Mimo to chyba się jeszcze zobaczymy.

Panna Sara przystanęła w półkroku.

— Jak pan to rozumie?

— Zrobiłem sobie na wszelki wypadek parę fotokopii tego dokumentu.

— Ach — powiedziała panna Sara i podniosła rękę do piersi — Mogłam się tego spodziewać.

Bardzo blada opadła na najbliższe krzesło — Przepraszam — westchnęła — Poczułam się tak słabo...

— Może szklankę wody? — spytał troskliwie Irwin.

— Raczej kropelkę whisky — powiedziała, patrząc na niego złym wzrokiem.

Goddard rozejrzał się bezradnie: nie pijał whisky. A ta stara panna gotowa mu tu zemdleć. Nagle przypomniał sobie staromodną butelkę w skrzyni, podniósł wieko i po omacku odnalazł na dnie kufra płaską flaszkę.

— To będzie niezwykła whisky, panno Saro — powiedział — należała kiedyś do pani pradziadka.

Nalał złotawego płynu do szklanki. Panna Sara już jakby przychodziła do siebie. Czuł jej wzrok, słyszał jej krótki oddech.

— A pan się nie napije ze mną, panie Goddard? — spytała — Bez urazy! Ostatecznie przecież ubiliśmy ten interes...

— Czemu nie — powiedział Irwin i nalał sobie pół szklanki. Whisky miała ostry, wytrawny zapach szacownego trunku. Podał szklankę starej pannie, a swoją uniósł jak w toaście.

— Piję za pamięć Montague Willigraya — powiedział — Nie ma to jak gentlemani starej daty.

— Tak — westchnęła panna Sara, uważnie śledząc jego ruchy.

Kiedy odstawił swą szklankę podała mu i swoją, wciąż jeszcze pełną.

— Pani nie pije?

— Nie powiedziała — Rozmyśliłam się. Czy pan wie panie Goddard jak umarł mój pradziadek? Popełnił samobójstwo. Otruł się. Prawda, że to straszne.

— Tak, to straszne — powiedział dość obojętnie Irwin — Ależ ta whisky mocna...

— Pradziadek otruł się, panie Goddard — powtórzyła z naciskiem Sara — A rodzina aby uniknąć skandalu, jakoś to zatuszowała. Znajomy lekarz zaświadczył, że to była wada serca czy coś w tym rodzaju. Rzeczy, które miał pradziadek wtedy na sobie, schowali właśnie do tej skrzyni. Wszystkie. I nawet tę fatalną whisky, którą pił owego wieczoru. Prawda, że ta whisky ma szczególny smak?

Irwin oniemiały, ze szklankami w rękach, gapił się na starą pannę, która żwawo podniosła się z krzesła i ruszyła ku drzwiom.

— Do widzenia panie Goddard — powiedziała już z ręką na klamce — Niech się pan nie przejmuje: to nie potrwa długo...

odgłosy TYGODNIA

Krytyka pomogła

Kilkanaście dni straszył łodzian sklep mięsno-wędliniarski przy ul. Zachodniej 46. Wykonane realistycznie u wejścia sklepu: łeb wieprza i wiązanki kiełbas, mogły przyprawić o złe sny przechodzących tamtędy mieszkańców naszego grodu. To ponure malowidło istniałoby zapewne do tej pory, gdyby nie „Dziennik Łódzki". Zamieścił on bowiem zdjęcie koszmarnego wejścia do sklepu, z odpowiednim komentarzem. Już na drugi dzień wspaniałe malunki zostały pokryte warstwą białej farby. Pozostały jednakże okropnie wykonane napisy, głoszące na każdym rogu kamienicy, że właśnie tutaj znajduje się sklep mięsny. Kilka dni zmagał się MHM nad dylematem — zamazać również napisy, czy też nie? Rozsądek jednak zwyciężył i wreszcie napisy — potworki zniknęły pod tą samą warstwą białej farby. Szara i brudna kamienica świeci teraz trzema ogromnymi białymi plamami, ale nie raz już oka tandetnymi napisami i malowidłem-koszmarem. Okoliczni mieszkańcy na pewno przyjęli tę zmianę z ulgą. Szkoda tylko, że pociągnęło to za sobą unieruchomienie sklepu. Ale pozostanie to chyba tajemnicą MHM (jak na remanent, za długo trwa). Nie naraża się więc już wrażeń estetycznych, ale naraża się za to żołądki korzystających z tego sklepu. Jak długo jeszcze?

GRATULUJEMY!

W pierwszym półroczu bieżącego roku do Komendy MO m. Łodzi i terenowych jednostek MO wpłynęło 36 listów od obywateli i instytucji, w których zawarte są podziękowania dla jednostek MO lub poszczególnych funkcjonariuszy, wyrazy uznania za szybką i sprawną walkę z elementem przestępczym, za obiektywne i szybkie rozpatrywanie spraw oraz za zrozumienie i takt w czasie ich załatwiania.

W porównaniu do analogicznego okresu roku 1961, wpływ tych listów zmniejszył się o 16. Niemniej jednak spadek wpływu listów z podziękowaniami nie świadczy o tym, że poziom pracy uległ pogorszeniu, względnie zmniejszył się poziom ogólny i zawodowy funkcjonariuszy MO. W wielu przypadkach obywatele osobiście składają podziękowania na ręce poszczególnych kierowników jednostek MO, bądź też bezpośrednio funkcjonariuszom.

Listy te świadczą o tym, że niektórzy funkcjonariusze na skutek właściwego i sumiennego wykonywania swoich obowiązków służbowych oraz ofiarnej pracy, poważnie przyczynili się do podniesienia autorytetu Milicji wśród społeczeństwa.

Sprostowanie i dziwny telefon

W 26 numerze „Odgłosów" zamieściliśmy notę pt. „Kto odpowiada?". Chodziło w niej o znaną już sprawę rzekomo zatrutego jadem kiełbasianym sera znajdującego się w paczkach przydzielanych przez odpowiednią instancję Opieki Społecznej. Szereg osób uległo zatruciu. Pytaliśmy: kto za to odpowiada, czyżby nikt nie ponosił odpowiedzialności za narażanie ludzkiego życia?

Sytuacja się wyjaśniła. Gazety opublikowały odpowiednie sprostowania. Ser był w porządku, zatrucie nastąpiło na skutek spożycia innych artykułów nie pochodzących z paczek Opieki Społecznej.

Prostujemy i my tę wiadomość, oczywiście nieco później niż gazety — ze względów zrozumiałych: jesteśmy tygodnikiem.

P. S. Dlaczego jednak przedstawiciel „odpowiedniej instancji Opieki Społecznej" (nazwisko nie znane) dzwoniąc do nas w tej sprawie nie potrafił powstrzymać się od pewnych złośliwości, które, sądzimy, były co najmniej nie na miejscu?

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW

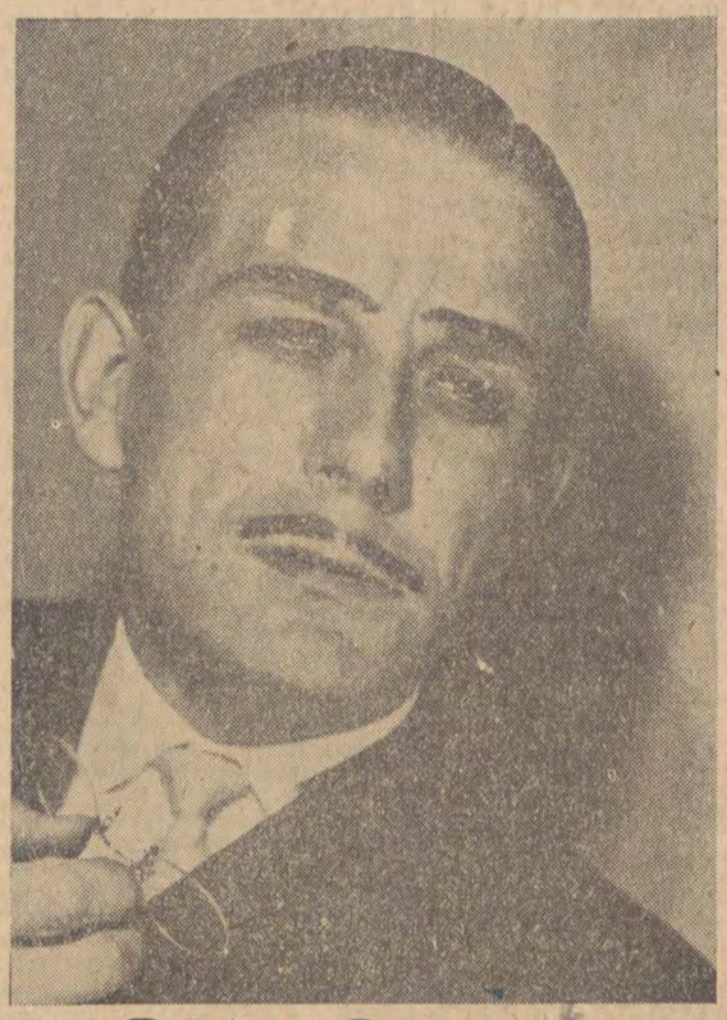

ZBIGNIEW JÓZEFOWICZ

ZBIGNIEW JÓZEFOWICZ — zadebiutował w roku 1950 w Teatrze Młodego Widza w Poznaniu. Następne lata to praca w Poznańskim Teatrze Polskim. W roku 1954 przenosi się do Łodzi i przez kilka lat występuje na scenie Teatru Jaracza.

Od 1960 r. gra z powodzeniem w Teatrze Nowym.

Ważniejsze role to:

Nił — w „Mieszczanach" Gorkiego, Sielski — w „Małym domku" Rittnera, Jasiek — w „Weselu" Wyspiańskiego, Student — w „Ptaku" Szaniawskiego, ostatnio Burski — w „Dyplomatach", sztuce granej do dziś (patrz zdjęcie).

Tego uzdolnionego aktora znamy również z filmu — debiutował w r. 1953 w „Celulozie". Dalej główne role w filmach „Godziny nadziei", „Wraki" i wiele innych ról filmowych.

Zbigniew Józefowicz dał się poznać również jako zdolny aktor w widowiskach telewizyjnych, a mianowicie w spektaklach: „Ścieżki chwały", „Lisi", „Maskarada", „Jak wam się podoba" i innych.

Tekst i zdjęcie
GERARD PUCIATO

cyk — bezpłatny dodatek Odgłosów tygodnia

Wybór najlepszego

Według legendy arabskiej pewnemu człowiekowi zjawił się diabeł i powiedział:

— Zbliża się godzina twojej śmierci. Możesz się uratować tylko w jeden sposób: zabijesz swego służącego, wybijesz swoją żonę albo napijesz się wina.

— Nie mogę zabić wiernego sługi — odpowiedział mężczyzna. — Byłoby też bardzo głupio, gdybym obił żonę. Już raczej napiję się wina!

I napił się wina. A kiedy był pijany, zbił żonę i zabił sługę, który ją bronił.

Przysłowia o pijaństwie

Zapytano wina: „Czy więcej rujnujesz, czy obdarzasz dobrodziejstwami?" Wino odpowiedziało: „Ilu obdarzyłem dobrodziejstwami — nie wiem, a zrujnowanych jest bez liku".

(Ormiańskie).

Nie upijaj się winem, będziesz mocniejszy rozumem.

(Rosyjskie).

Kto pije na kredyt — pijany dwukrotnie.

(Tureckie).

F. S. W.

Szukam białych plam

W Wieluniu poczytność prasy wzrasta

Na Nowym Rynku ruch. Za budynkiem stacyjnym PKS mały skwerek, pełen zieleni i kolorowych ławek. Wokół placu rynkowego sklepy oraz kiosk „Ruchu". W śródmieściu rozkopane ulice, nakłada się tu szlachetną nawierzchnię. I co jeszcze na pierwszy rzut oka? Estetycznie urządzone wystawy sklepów, nowoczesny budynek Domu Handlowego PSS „Tęcza", restauracje, kawiarnia „Róża", kino, Powiatowy Dom Kultury, Dom Harcerza, bar mleczny. Na ulicach miasta spotykam wiele spacerującej młodzieży, jak się okazuje jest tu pięć szkół podstawowych, ogólnokształcąca, Technikum Ekonomiczne, Zasadnicza Szkoła Zawodowa i inne oraz w budowie Szkoła Tysiąclecia. Mieszkańcy Wielunia znajdują pracę w miejscowych urzędach, cukrowni, Zakładach Mechanicznych „Prozamet", Zakładach Przemysłu Terenowego Materiałów Budowlanych (6 cegielni), Szpitalu Miejskim, spółdzielniach pracy itp. żywo interesują się prasą, i to nie tylko łódzką. Świadczy o tym chociażby bezzwrotowa prawie sprzedaż dzienników i czasopism w 8 kioskach „Ruch" zlokalizowanych na terenie miasta.

Odczuwa się tu nawet pewien niedosyt prasy, szczególnie dzienników. Wydaje mi się, że punktów sprzedaży prasy jest tu również za mało, bowiem odległości między kioskami, w porównaniu do innych miejscowości, są dość duże. Prasa łódzka dociera do Wielunia autobusem PKS, gdzieś między godz. 7,30 a 7,40 rano, następnie rozdzielana w Oddziale „Ruch" doręczana jest do kiosków. I tu trzeba podkreślić że trochę za późno, bowiem kioskarze mają u siebie dzienniki dopiero o godz. 9—9,30, a nawet o godz. 10.00. W oparciu o rozmowy przeprowadzone z kioskarzami i dane cyfrowe zaczerpnięte w Oddziale „Ruch" w Wieluniu, można śmiało powiedzieć, że powodzeniem cieszy się w sprzedaży kioskowej **„Głos Robotniczy"**, w prenumeracie pocztowej natomiast **„Gromada Rolnik Polski"**. W ogóle poczytność prasy w Wieluniu wzrasta. Weźmy dla przykładu kilka tytułów. W roku 1960 „spożycie" dzienne „Głosu Robotniczego", w mieście i powiecie wynosiło **1.100 egz.** (komis i poczta), w roku 1962 już **2.500 egz.**, a w chwili obecnej **2.700 egz.** „Trybuny Ludu" w roku 1960 — **230 egz.**, w roku 1962 — **350 egz.**, a w roku 1963 — **400 egz.** „Chłopskiej Drogi" w roku 1960 — **700 egz.**, w roku 1962 — **850 egz.**, a w roku 1963 — **900 egz.** W osiągnięciu tym mają niewątpliwie swoją małą „cegiełkę" również kioskarze Wielunia i okolic.

Przed odjazdem rozmawiam z p. **Heleną Wilczyńską**, która prowadzi kiosk nr 4 wraz ze swoją siostrą **Teresą Majdą**. Rozprowadzają one dziennie 185 egz. „Głosu Robotniczego" (na niedziele 300 egz.), 50 do 100 egz. „Dziennika Łódzkiego", 10 egz. „Odgłosów", 50 egz. „Karuzeli", 30 egz. „Trybuny Ludu" itd. Obserwuję przez chwilę jej pracę, która cechuje sprawność oraz umiejętność podejścia do klientów.

K. O.

Podrywacze

(Z okazji lata...)

Spotykamy ich na każdym kroku. Czy to będąc w kawiarni, w kinie, tramwaju, autobusie, na ulicy, w parku, a nawet w bibliotece. Spróbujmy zdefiniować osobnika zwanego podrywaczem. Jest to mężczyzna w wieku lat od 18 do 60 (chociaż widziałem jeszcze starszych), który podrywa kobietę na jeden wieczór, albo na dwa, trzy, cztery etc. Podrywaczy możemy podzielić na dwa gatunki: amatorzy i zawodowcy. Pierwsi podrywają rzadziej, korzystając przeważnie z nieobecności żony, bądź narzeczonej, czy swojej dziewczyny. Każdy podrywacz z prawdziwego zdarzenia posiada swój własny styl, od którego w zależności od biegu wypadków może odbiegać, ale czyni to rzadko i w zasadzie niechętnie. Najczęściej stosowanymi modelami są: na starszego eleganckiego pana, na filmowca, na przemysłowca, na literata i na artystę. Zgodnie z obranym modelem podrywacz długo przygotowuje się do swej roli. Przede wszystkim ubiór musi być elegancki, wzbudzający zaufanie i przeważnie ciuchowy. Wyjątek stanowią w tym wypadku „artyści", którzy do ubrania nie przywiązują specjalnej wagi. Włosy są zawsze starannie uczesane, podbródek nienagannie wygolony, ręce czyste, a paznokcie doskonale utrzymane. To wszystko nie dotyczy „artystów" którzy szokują rozczochraną czupryną i brodą. Dzisiejszy podrywacz zawodowiec nie rozstaje się z zagranicznym pismem (może być sprzed paru miesięcy). Szczególnie dobre wrażenie robi „New York Times", „Paris Match" i „Cinemonde". Obnoszenie się z krzyczącą okładką zachodniego „kryminału" jest już przestarzałe.

T. W.

P. S. O umeblowaniu głowy zawodowego podrywacza nie piszę. Najczęściej są to głowy puste i głupie

STEFAN JARACZ

Jaracz, występujący na scenach warszawskich, jako austriacki poddany musiał odbyć służbę wojskową w Galicji.

Przyjechawszy do rodzinnego miasteczka spotkał w miejscowej restauracji kolegę szkolnego, nauczyciela wydalonego za bicie dzieci. Był nieco pod gazem.

— Co porabiasz, Stefan?

— Jestem aktorem.

— Zmarnowałeś się. Mógłbyś jako nauczyciel zarabiać 60 koron miesięcznie, a w teatrze ile możesz dostać?

— 1.000 koron.

— Nie ma takiej posady! Tylko namiestnik ma 1.000 koron, a chyba sam cesarz niewiele więcej zarabia.

Jaracz pokazał kontrakt podpisany z Teatrem Polskim.

— Czytaj!

— Rzeczywiście. 400 rubli to 1.000 koron. A jednak zmarnowałeś się — dodał po chwili ze smutkiem.

* * *

Po zajęciu Warszawy przez Niemców w r. 1915, ziemianki z Kresów otworzyły na Nowym Świecie kawiarnię i restaurację, które wkrótce stały się najpopularniejszymi lokalami.

Zbierali się tu poeci, literaci, aktorzy, malarze — cała ówczesna cyganeria.

Pewnego wieczoru przyszedł po spektaklu bogaty obywatel ziemski, przysiadł się do stolika aktorów i zaczął dowodzić, że niesłusznie wychwalają talenty aktorskie.

do druku podał Sb Chruściewski

— Jak aktor dostanie dobrą rolę — nie sztuka zagrać ją dobrze.

Wywiązała się ożywiona dyskusja. Jaracz słuchał w milczeniu, wreszcie odezwał się:

— Założy się pan o butelkę Martela, że nie ma pan racji?

— Nawet o trzy.

Artysta wziął kartkę ze spisem potraw i zaczął czytać. Słuchano ze zdumieniem.

Gdy skończył, ziemianin zerwał się i uścisnął go.

— Proszę o trzy butelki Martela i trzy szampana! — zadysponował.

Do białego rana oblewano zakład.

* * *

Jaracz codziennie spotykał się na kawie z Karolem Borowskim. Pewnego dnia zaczął się uważnie przyglądać koledze.

— Czemu tak na mnie patrzysz? — zapytał Borowski.

— Jesteś bardzo podobny do swojej siostry.

— Ależ ona jest bardzo piękna!

— A ty jesteś jej karykaturą — odparł Jaracz.

Redaguje Zespół — Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12.
Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy".
Druk: RSW „Prasa", Łódź, Żwirki 17.
Zam. 23 14 VII 63. K-4